

# odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok V. ŁÓDŹ, 30. IX. 62 r.

Nr 39 (239)

Cena 1 zł

Wkrótce:

CIEKAWÉ  
REPORTAŻE

z  
USA

WANDY  
KARCZEWSKIEJ

Felieton sceptyka

## MIĘDZY ŻYCIEM a ZASADAMI

Oto historia z życia, jedna z wielu. Państwo Henryka i Aleksander M. byli małżeństwem, posiadali mieszkanie, składające się z dwóch pokoi i kuchni. Po tem z własnej woli i mocą prawa przestali stanowić związek. Wyrokowi rozwodowemu nie towarzyszył urzędowy rozdział ich majątku, jako że nigdy jako taki takiemu nie towarzyszył.

Chcąc nie chcąc rozwiedzeni państwo M. mieszkali razem jako byłe małżeństwo, co, oczywiście, ani jej ani jemu nie sprawiało przyjemności. Aliści pan Aleksander, który nie widział powodów, żeby żyć w celibacie, ożenił się powtórnie. Jego nowa, ślubna, pani Olecha G. nie wniosła, niestety, do nowego stadła mieszkania. Ponieważ młode małżeństwo musiało gdzieś w Łodzi mieszkać, pan Aleksander uznał za najprostsze wyjście zamieszkać z małżonką w pokoju dotąd przez się zajmowanym. Nie widział w tym nic złego, skoro poprzedni mariaż był już tylko minionym faktem w jego życiu. I istotnie nie było w tym nic złego, choć wyjście też do idealnych nie należało.

Więc kiedy pani Olecha sprowadziła się do męża, byli szczęśliwi, chociaż niezupełnie. Bo, po pierwsze, do pełnego szczęścia jest potrzebne małżonkom samodzielne mieszkanie, a już wspólne przebywanie pod jednym dachem z „tą pierw-

Dalszy ciąg  
na str. 12

JAN BABIŃSKI

## BIAŁA CZEKA aż rekiny SIĘ PRZEBUDZĄ

Ciekawe, jakby chłopcy zareagowali, gdyby Julian Semba odczytał na zebraniu taki urywek z dziełka Kramera pt. „Historia zaczyna się w Sumerze”:

„Niech twoje narzędzie dźwięczy w gotowości do pracy. Miej baczność, by ziarno jęczmienia padało w bruzdy równo, na głębokość dwu palców. Jeśli ziarno nie zglebia się należycie, trzeba zmienić język pluga...”

(Dalszy ciąg na str. 4 i 5)

## DŹWIĘK - SZALEŃSTWO

na str. 6

KRZYSZTOF  
POGORZELEC

## KAPELUSZ noś i przy pogodzie

Pięćdziesiąt litrów samogonu uratowało polskie głowy.

Nie jest to prawda objawiona, ale w Skoczowie twierdzą, że gdyby nie litościwy dar anonimowego zarządcy pewnej cukrowni i równocześnie bimbrowni leżącej gdzieś pod Raciborem, brzydszą część ludzkiego rodu mieszkającą pomiędzy Bugiem a Odrą spotkałoby wtedy niebywale nieszczęście.

Pojechali w dziewiątkę. Był tam Szturc, Janczarski, bracia Nowakowie i Chmiel. Na drogę wzięli ze sobą worek kartofli, trochę suszonego bobu i — tak na wszelki wypadek, bo „to nigdy nie wiadomo co się może człowiekowi przydarzyć” — jedną już znacjonalizowaną piłę, resztkę mąki nieopatrznie zostawio-

WIESŁAW BEK

Gdyby politycy posługiwali się specjalnie dla nich wydrukowanymi kalendarzami — pierwszym miesiącem politycznego roku byłby z pewnością wrzesień. We wrześniu bowiem od kilku już lat jesteśmy świadkami dużego ożywienia na arenie międzynarodowej, często prowadzącego do chwilowego wzrostu napięcia i tzw. okresu kryzysowego.

I choć w tym roku również na czas wakacji przypadło wiele godnych odno-

towania przez historyka wydarzeń — sezon polityczny naprawdę otworzył dopiero na przełomie sierpnia i września. Tym razem „prze-

cięcia wstęgi” dokonali rewizjoniści i paramilitaryści Niemcy.

Było tajemnicą poliszynela, że do rocznicy ustanowie-

nia przez NRD granicy państwowej między obu częściami Berlina (13 sierpnia) przygotowują się oni szczególnie starannie. Roniąc ob-

łudnie lzy nad „rozdartym miastem” i „rozdartymi rodzinami” chcieli w rocznicę

Dalszy ciąg na str. 2



# ROZMOWA ODGŁOSÓW Z:

doc. dr ANTONINA

KŁOSKOWSKA

kier. Katedry Historii Socjologii  
i Myśli Społecznej UŁ

## KULTURZE MASOWEJ

Przygotowuje pani, na zamówienie Państwowych Wydań Naukowych, pracę pt. „Kultura masowa w socjologicznej perspektywie”. Czy swoje badania w związku z tą pracą, przeprowadzała pani w określonym środowisku?

Badania przyrównowe prowadziłam właśnie w środowisku łódzkim (np. nad od-

biorem „Matysiaków”); ponadto opieram się o literaturę krajową i zagraniczną. W prasie periodycznej oraz w różnego rodzaju kręgach środowiskowych utrzymuję się na temat kultury masowej różne opinie. Czy w swojej pracy wyjaśnia pani profesor te niejasności?

Usystematyzowanie tych pojęć oraz ustosunkowanie się

do części problematyki spornej jest właśnie jednym z zadań, jakie sobie postawiłam pisząc tę pracę. Z jednej bowiem strony panuje przekonanie, że kultura masowa musi być wulgarna jak np. w Ameryce (komiks!), jako kultura komercyjna, nastawiona na szeroki odbiór, z drugiej zaś — uważa się, że może a nawet powinna ona dawać szerokiej publiczności nowe wartości. Powstaje też problem: czy można w ogóle pojęcie kultury masowej odnieść do zagadnień kulturalnych krajów socjalistycznych, m. in. i do Polski. W swojej pracy staram się m. in. wykazać różnice jakie zachodzą między tym, co wypełnia ogólną ramy kultury masowej w Polsce, a tym co jest typowe dla przejawów tej kultury w krajach kapitalistycznych, choć i tam kultura masowa różni się w zależności od warunków i tradycji danego kraju.

Jak można byłoby określić charakterystyczne cechy krajowej specyfiki w dziedzinie kultury?

Od ostatecznych sądów należałoby się jeszcze powstrzymać. Pewne jednak zjawiska są niewątpliwie. Np. polityka kulturalna oddziałuje o wiele silniej na kulturę masową u nas niż w krajach zachodnich. To wynika z ujemnej treści, jakie jak pismo, niektóre trywialne formy działalności rozrywkowej itp. Również elementy wychowawcze i propagandowe występują u nas

wyraźniej niż w kulturze masowej tamtych krajów. Pewne funkcje są jednak niewątpliwie podobne (np. funkcje rozrywkowe). Ale i tu bardziej akcentuje się u nas elementy oświatowe niż w krajach kapitalistycznych.

Co jest największą zaletą kultury masowej?

Właśnie jej masowość. Sprężystość współczesnemu, tak bardzo zróżnicowanemu, kulturowemu społeczeństwu, pozwala przeżyć wspólnie jakieś istotne sprawy, stwarza wspólne będzie zapewniające integrację społeczeństwa społeczeństwa.

Z tego „wspólnego” wynika jednak nowe problemy, a więc: jakie są te wspólne treści, które wprowadza się do świadomości społecznej, co czyni się przedmiotem wspólnych przeżyć. Czy nie uważa pani profesor, że problemy te mogą rodzić nowe spory?

Mówiliśmy właśnie o tym na początku (tj. o różnicach w treści kultury masowej u nas i w krajach kapitalistycznych). Pani miała jednak na myśli chyba inne „trudności”?

Chociaż te, które wiążą się ze wspólną, masową konsumpcją kultury, np. w najdramatyczniejszych momentach filmu publiczność kinowa śmieje się, albo na najpiękniejszym koncercie — chrapie, wierci się i szeleści papierkami. Czy naprawdę selekcja jest obca duchowi kultury masowej?

Z punktu widzenia kon-

sumenta indywidualnego takie elitarne ustosunkowanie się do spraw umasowienia kultury jest może wylumaczeniem. Nie jest to jednak sprawa podważająca. Problem jest inny: dlaczego wciąż jeszcze część publiczności reaguje w sposób dość prymitywny na poważniejsze treści. Istnienie różnych poziomów, gustów i zainteresowań trzeba przyjąć jako fakt. Siad nie wynika jednak absolutnie z zasady separowania różnych typów publiczności. Przeciwnie, naszym zadaniem jest: przez odwołanie politykę kulturalną i oświatową podnieść poziom kultury masowej. A więc znów problem zaspokajania czy kształtowania gustu? Dla nas chyba to ostatnie, zakładając, że sublimować gusty publiczności, przyzwyczajając je do treści poważnych można tylko umiejętnie i z umiarem, to znaczy uwzględniając jej zainteresowania i życzenia.

I przy pomocy „Matysiaków”?

Tak, nawet wykorzystując „Matysiaków”. „Matysiakowie” i inne proste elementy łatwej rozrywki pełnią funkcje pozytywne, rozładując szereg kompleksów, dostarczając wzorów postępowania moralnego. W tym kontekście „Matysiakowie” to kultura masowa nie najwyższej miary, ale społecznie wartościowa i potrzebna.

Jak widać inaczej na tę sprawę patrzy socjologowie a inaczej esteci czy intelektualiści.

— Bezsprzecznie. Nie mażemy jednak, aby socjologowie uważali, że rozrywka typu „Matysiaków” powinna być rozrywką elity intelektualnej i powszechną estetyczną normą.

Tak, jak i operetka, najbardziej popularny teatr w Łodzi.

Operetka cieszy się wzięciem u masowego odbiorcy powodzeniem. Ta forma może przecież stanowić dla pewnych wartości. Należy do niej prostactwo libretta, które bywa jej najsłabszą stroną, nie stanowi koniecznego warunku popularności operetki. Siad wyciągnąć można pewne optymistyczne wnioski. Treść operetki mogłaby być mniej płytka zachowując pozostałe właściwości gatunku. To samo odnosi się do kabaretu, do występów takich jak np. Estrada. Należałoby tym instytucjom kultury masowej stawiać wyższe wymagania pod względem aktorstwa, scenariuszy, realizacji. A więc podniesienie poziomu widowisk popularnych, a nie ich likwidacja. Taki kierunek jest chyba możliwy i słuszny.

Koncowe wnioski naszej rozmowy są chyba dwa: że kultura masowa może przekazywać i przekazuje cenne wartości oraz, że subtelna polityka kulturalna ma duże szanse podniesienia kultury masowej bez ograniczenia jej zasięgu i funkcji. Czy tak?

Tak mniej więcej można by streścić przedmiot naszej rozmowy.

Rozm. K. WYRZYKOWSKA

(Dalszy ciąg ze str. 1)

położenia tamy politycznej i gospodarczej dywersji zwrócić uwagę świata na „tragedię” miasta. Kiedy jednak w tym właśnie czasie świat z podziwem patrzył na ekrany telewizorów, po raz pierwszy śledząc bezpośrednio lot kosmonautów radzieckich i jasne stało się, że zainteresowanie opinii przeniosło się z Ziemi w kosmos — nie zrzędniali ze swego planu, ale po prostu położyli go. W kilka dni później rozpoczęli serię prowokacji, w czasie której podburzone grupy awanturników zaatakowały również żołnierzy amerykańskich.

Przypominam te fakty szeroko relacjonowane przez codzienną prasę, bo uprzytomniły one opinii, jakie

dlowe, finansowe, rozwijające się między obu państwami. Mówi się, że największe drutów koleczastego dla berlińskiego muru przychodzi z Republiki Federalnej.

Tak więc u progu sezonu politycznego stanęła znów na porządku dnia sprawa Berlina i szerzej — Niemiec.

Cóż, kiedy z obecnej sytuacji nie chcą wyciągnąć wniosków politycy na Zachodzie. Trwające wielu kanałami dyplomatycznymi rozmowy nie posunęły problemu naprzód o tyle, by widzieć perspektywę rychłego uregulowania. Nie zaniebując niczego, co przy bliższych porozumieniu z Zachodem — ZSRR podjąłby kolejny krok na drodze do zniesienia statusu o-

na wszelkie próby odprężenia sytuacji międzynarodowej. A właśnie francusko-niemieckie „nie” rozlega się coraz głośniejsze.

Jak się rzekło, tegoroczną jesienią polityczną zainaugurowało przypomnienie o otwartym problemie Berlina. Ale nie tylko. Z nie mniejszym niepokojem śledzą ludzie na całym świecie i to, co dzieje się w rejonie Morza Karaibskiego. Kubański wyłom w systemie państw amerykańskich spędza sen z powiek politykom z Białego Domu. Nie dają za wygraną — raz po raz wnosząc w ten rejon niepokoju i groźbę Kuby interwencja. Ta zacięta postawa USA wobec kraju, który pierwszy rozbił mit o „fatalizm geograficzny” skazującym rzekomo państwa Środkowej i Południowej Ameryki na łaskę i nie-

bezwrotnie, dziś rachunek głosów może być niejednokrotnie niekorzystny dla krajów uparcie stawiających ponad interesy narodów — swój własny. Dlatego też w pewnych kołach politycznych na Zachodzie zaczęły się rodzić koncepcje w gruncie rzeczy podważające istnienie ONZ. Pojawili się mianowicie sugestia, aby dotychczasowy system przyznający każdemu państwu jeden głos zastąpić nowym, który dawałby przewagę wielkim mocarstwom. Nie zwalniając tychże z szczególnej odpowiedzialności za utrzymanie pokoju (dlatego właśnie wielkie mocarstwa są stałymi członkami jednego z najważniejszych organów ONZ — Rady Bezpieczeństwa i korzystają tam z prawa weta) nie można podjąć jednak zasady, że „równe prawa przysługują

FELIKS WIESENBERG

## CZY WALKA Z WIATRAKAMI?

Jeszcze przed pierwszą wojną światową, do każdego pudełka papierosów pewnej prywatnej angielskiej wytwórni, wkładano reprodukcje obrazów mistrzów XIV do XVIII wieku z bogatych zbiorów British Museum. Te miniatury, barwne reprodukcje wykonane były nader starannie na płótnie oleodrukiem, ukazującym fakturę oryginalu. Na odwrocie reprodukcji znajdowały się krótkie informacje: imię i nazwisko twórcy, data jego urodzenia i śmierci, jego ranga w dziejach kultury artystycznej, ewentualna przynależność do szkoły malarzkiej oraz miejsce przechowywania oryginalu dzieła. Papierosy z tą premią cieszyły się dużym popytem w Anglii i krajach sąsiednich. W ten sposób wyrachowanie handlowe stało się podstawą upowszechniania sztuki przez prywatnego przedsiębiorcę.

Była epoka, kiedy ludy tworzyły sztukę, która dotychczas jest inspiracją artystów współczesnych. U nas lud stworzył pieśń, muzykę, tańce, z różnorodnymi odmianami od Tatr po Kurpie i od Podlasia po Wielkopolskę. Tradycje ludowego budownictwa drewnianego odnajdujemy w tzw. baroku nadwiślańskim. Ludowe malarstwo, zdobnictwo, wycinanki są dowodem wrażliwości na barwy i formy.

Pieśni i tańce wyparte zostały przez międzynarodową muzykę rozrywkowo-taneczną, światłą przez pseudorealistyczne gipsowe figury i tandetną kolorową litografię, a ludowe wiązania dachowe w budownictwie wiejskim — wiazaniami, wprowadzonymi przez praktycznych niemieckich majsterków.

Nie może być oczywiście powrotu do kultury ludowej, która tworzyła się na odmiennej niż obecna bazie gospodarczej, ale jeżeli nie chcemy przez indolencję współdziałać w staczaniu się narodu na poziom „kultury małej” (na festiwalu jazzowym w Sopocie rozhisteryzowane słuchaczki wieńczyły zwycięskie zespoły doradnie zdesimowanym majtkami), musimy przedsięwziąć jakieś środki zaradcze. Tymczasem obserwujemy procesy gwałtownie a wytrwale wyjąłowiace resztki wrażliwości estetycznej.

Handel uspołeczniony, wiec skłony z papierem i książki „Ruch”, „Veritas” i książki z dewocjonaliami, ramki, handlarze jarmarczni i odpustowi rozporządzała mniejszą lub większą szmirą, w eradą lub z potworności. Sklepy i „Ruch” — szlamowe widokówki świąteczne i imiennowe, odpowiadające gu-

stom chyba małowiaściznowych sklepikarzy, „Veritas” i książki z dewocjonaliami — bohomyzy będące w gruncie rzeczy obrazą kultury.

Pracownicy ramiarskie, nawet w dużych miastach, wystawiają w witrynach oleodruki wyobrażające „jelenia na rykowisku” i „landszafy” „recznie malowane” przez żadnych łatwego zarobku domorodnych pacykaczy. Ba, nawet w sklepach „Desy” spótyka się malatury, które trudno zaliczyć do dzieł sztuki.

Ta bagatelizowana strona działalności handlu nosi charakter dywensji kulturalnej. Wiadomo, można przywyknąć do każdej brzydoty, która wejdzie w modę, jak u ludów pierwotnych modą jest dziurawienie i rozpychanie warg drewnianymi kłódkami, lub jak u dawnych Chinek było zniekształcanie słoń.

Jeśli nawet nie jest aż tak źle, to jednak widoczne jest stale obniżanie się kultury estetycznej. I niewątpliwie należy przeciwstawić się temu smutnemu zjawisku. Przede wszystkim trzeba usunąć z pola widzenia ludzi wszystkich, co deprawuje smak estetyczny. Nie ma uzasadnienia swoisty liberalizm, a właściwie anachronizm handlowy, jeżeli jej praktykowanie wyrządza oczywistą szkodę społeczna.

Zagadnienie kultury narodu jest, bądź co bądź, zagadnieniem państwowym. I do władz państwowych należy w tej sprawie decyzja. Niezbędne jest wprowadzenie zasady koncesjonowania handlu malowidłami, reprodukcjami, widokówkami, „pamiątkami” itp., a nadzór nad poziomem sprzedawanych przedmiotów należy powierzyć komisjom artystycznym, składającym się ze specjalistów. A przede wszystkim należy ostatecznie zlikwidować jarmarczny handel tymi „zodobami”. Te poczynania byłyby oczywiście przedpół do batalii o kulturę.

W większych miastach, na wzór sporadycznych wystaw brakovobstwa, można zorganizować stałe „muzea brzydoty”, gdzie selekcjonowane egzemplarze brzydoty zestawione zostaną z dziełami wartościowymi o podobnej tematyce.

A może wydawnictwa — przede wszystkim książek szkolnych — przejmując inicjatywę angielskiego przedsiębiorcy, zaczęłyby dodawać do książek artystycznie wykonane widokówki przedstawiające najwybitniejsze dzieła sztuki? Choć realizacja tego pomysłu byłaby dość kosztowna, to w skali narodowej opłacałaby się. W naszych czasach kultura nie sonda bowiem z nieba jak biblia manna.

# DŹDŻYSTA czy POGODNA POLITYCZNA JESIEŃ

niebezpieczeństwa niesie nie uregulowana do dziś sytuacja w „przefrontowym mieście”.

Odezwało się z tej okazji kilka rozsądnych głosów na wet w prasie amerykańskiej. Tak na przykład dziennik „GAZETTE AND DAILY” wezwał rząd USA do rewizji dotychczasowej polityki wobec NRF, a „NEWS OF THE WORLD” stwierdził, że mocarstwa zachodnie ponoszą winę za nieprzystosowanie się do rzeczywistości.

Kropkę nad „i” stawia zaś „BALTIMORE SUN” w zamieszczonym korespondencji z Berlina. Autorka korespondencji, relacjonując swe rozmowy z berlińczykami, pisze:

„Mocarstwa zachodnie, zdaniem wielu ludzi, powinny zgodzić się na trzy warunki: na uznanie NRD, granicy na Odrze i Nysie oraz zagwarantowanie, że Berlin zachodni nie będzie już przy czółkiem zachodniej propagandy i szpiegostwa.

Najwięcej można uczynić, jeśli chodzi o punkt ostatni. Proponuje się, aby Berlin stał się rzeczywistym „miastem-pośrednikiem”, centrum negocjacyjnym, rodzajem otwartego domu, w którym można by zawierać transakcje techniczne, han-

kupacyjnego — zlikwidował radziecką komendanturę w Berlinie. W nieskończoność trudno przecież czekać na drobny choćby przejaw dobrej woli polityków Zachodu.

Zamiast tej — obserwowa- liśmy ostatnio kolejną próbę montowania osi Paryż — Bonn, czy też precyzyjniej: de Gaulle — Adenauer. Wizycie prezydenta Francji w stolicy Niemiec zachodnich towarzyszyło przede wszystkim zaniepokojenie brytyjskiej opinii publicznej, która zdaje sobie sprawę, że przeciwko komu w pierwszej kolejności flit ten jest wymierzony. Na gruncie bowiem Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej i de Gaulle i Adenauer — każdy zresztą mając na uwadze co innego — chcieliby utworzyć unię polityczną, nadającą ton polityce zachodniej. Oczywiście — nie pozostawiając w niej miejsca dla Wielkiej Brytanii, jako że przewodnictwo rezerwują dla siebie.

Niejednokrotnie podkreślaliśmy, że jesteśmy gorącymi zwolennikami wizyt między stanów i zbliżenia między krajami. Nie wtedy jednak, kiedy podstawą porozumienia staje się „nie-

łaskę Stanów Zjednoczonych, spotkała się z ostrą odprawą Związku Radzieckiego w postaci oświadczenia agencji TASS.

Niestety, ani problem Niemiec, ani Kuby nie figurują na porządku dziennym rozpoczętej przed kilku dniami XVII sesji Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych. Sesji, na którą przybyły delegacje 104 krajów, ale na której już w pierwszym dniu zdecydowano o przyjęciu do ONZ czterech dalszych państw. Wraz ze wzrostem liczby państw członkowskich powiększa się i porządek dzienny sesji. Tegoroczna będzie miała do rozpatrzenia 93 punkty, z których wiele ma decydujące znaczenie dla pokoju światowego. Podobnie jak i z poprzednimi — także z obecną wiąże się nadzieje na osiągnięcie postępu w najważniejszych zagadnieniach, do których przede wszystkim zaliczyć trzeba problem rozbrojenia.

Znamienny dla naszych czasów szybki proces wyzwalania się narodów i uzyskiwania przez kraje kolonialne niepodległości wpływa decydująco na układ sił w ONZ. Okres „maszynki do głosowania” minął już

wszystkim państwom — wielkim czy małym”.

Kolejna sesja ONZ będzie niewątpliwie próbą sił między realizmem politycznym, a polityką przynikania oczu na zmiany, które nastąpiły na mapie świata. Nie przesądząc wyników tej batalii — możemy jednak bez obawy popelnienia błędu stwierdzić już dziś — współistnienie i dekolonizacja, rozbrojenie i rozwój światowego handlu mają dziś więcej zwolenników niż

wczoraj.

\*\*\*

Weszliśmy w okres politycznej jesieni. Zbiera ona jak soczewka wszystkie nabołate problemy międzynarodowe. Jest ich wiele, często tak złożonych, tak zagmatwanych latami „zimnej wojny”, że trudno oczekiwać, by można je przeciąć jednym cięciem chirurgicznego lanceta. Jeśli jednak będzie dobra wola, jeśli gorę weźmie rozsadek — nie ma takich zagadnień między narodowych, których nie można by rozstrzygnąć przy zielonym, okragłym stole.

Bywają różne jesienie: dżdżyste i pogodne. Chce-

my wierzyć, że ta właśnie będzie w polityce pogodna...

WIESŁAW BEK

# CO NOWEGO w ZESPOŁACH?

W naszej poprzedniej informacji pisaliśmy o nowych scenariuszach realizowanych lub skierowanych do produkcji w zespołach filmowych „Droga”, „Iluzjon”, „Kadr”. W najmłodszym naszym zespole „Kamera” kierowanym przez znanego dokumentalistę reż. Jerzego Bossaka znajduje się adaptacja filmu o powieści „Czarne skrzydła” Juliusza Kadena-Itana. Scenariusz dokonany przez Sidor-Rylskiego i parę reżyserską — małżeństwo Ewę i Czesława Patelskich. Autorem zdjęć jest operator Kurt Weber, a główne role grają: Kazimierz Opaliński, Czesław Wolejko, Beata Tyszkiewicz, Maria Homerska, Tadeusz Fajewski, Feliks Żukowski. Obecnie zbliżają się do końca zdjęcia atelierowe w Wytwórni Filmów Fabularnych w Łodzi, z której reportaż na temat realizacji „Czarnych skrzydeł” zamieściliśmy niedawno w „Mieszańcu filmowym”.

Według scenariusza Kazimierza Orłosa w atelier filmów dokumentalnych w Warszawie realizuje swój kolejny film reżyser Witold Lesiewicz. Zdjęcia do filmu „Między brzegami” kręci Czesław Swirła, a grają Maria Ciesielska, Jerzy Pichelski, Kazimierz Fabisiak. Zdjęcia plenerowe do tego filmu realizowano w Rowach k-Ustki. Znaną opowieść „Jak być kochaną” z tomu „Romantyczność” Kazimierza Brandysa wg scenariusza piararza przeniosł na ekran (film znajduje się w montażu) reż. Wojciech Hass („Pozegnanie”), z którym od strony zdjęciowej współpracował operator Stefan Matyjaszkiewicz. Główna rola — starzejacej się, popularnej aktorki telewizyjnej udającej się na urlop do Paryża, gra Barbara Krattówna. Jej partnerami są Zbigniew Cybulski i Artur Młodnicki. W pozostałych rolach ujętymy między innymi: Kalline Jedrusik, Irene Noto, Zofie Jamry, Wiesława Głuskiego, Leona Niemczewskiego, Jerzego Micholka.

W „Kamerze” zaakceptowano ostatnio scenariusz Romana Bratnego „Naganiacz”, który zamierzają realizować Ewa i Czesław Patelscy. Akcja rozgrywa się podczas zimy 1945 r. Zorganizowane przez Niemców polowanie na nagonkę na zwierzynę przekształca się przypadkowo w okrutne polowanie na ludzi. Kierownik artystyczny zespołu „Rytm” reż. Jan Rybkowski realizuje w atelier WFD na Chelmskiej w Warszawie „Spotkanie w „Bajce” wg scenariusza napisanego wspólnie z Michałem Toncekim, autorem słuchowiska radiowego pod tym samym tytułem. Autor zdjęć „Kryżaków” operator Mieczysław Jahoda filmuje występujących w głównych rolach: Aleksandra Ślaskę, Gustawa Holoubka i Andrzeja Lapięckiego. W drugoplanowych rolach grają: Maria Wachowiak, Teresa Bzewska, Aleksander Fogiel i inni. Zdjęcia plenerowe nakręcono w Sandomierzu.

Do produkcji w „Rytmie” skierowano „Ich dzień powszedni”. Swoją kolejną własną scenariusz realizuje (!) kierownik literacki zespołu Aleksander Sidor-Rylski, najbardziej ostatnio plodny z polskich scenarzystów i kierowników literackich Zespołów. Operatorem jest Jan Janeczowski. Zdjęcia atelierowe będą realizowane w Wytwórni Filmów Fabularnych w Łodzi. Będzie to film obyczajowy analizujący życie współczesnej rodziny. Autor na przykładzie pewnego małżeństwa pragnie ukazać przy czynny konfliktów utrudniających porozumienie się dwójga ludzi.

W zespole „Start” debiutuje w filmie fabularnym reż. Anna Sokolowska, realizując nowelowy film na podstawie scenariusza napisanego przez Jerzego Broszkiewicza według własnej książki „Wielka, większa, największa”. Film składać się będzie z trzech nowel. Pierwszą i trzecią reżyseruje Anna Sokolowska, a nowelę drugą — reż. Wanda Jakubowska, kierownik artystyczny „Startu”. W tym samym zespole zaakceptowano scenariusz filmu „Panienka z okienka”, który napisali reż. Maria Kaniew-

ska i Jan Marcin Szancer wg powieści Deotymy pod tym samym tytułem. „Godzinę Pasowej Róży” wg własnego scenariusza opartego na powieści Marii Krüger realizuje Halina Bielińska po „filmowym rozwodzie” z mężem reż. Włodzimierzem Haupe, z którym zrealizowała między innymi znakomitą krótkometrażówkę „Zmiana warty” oraz komedie „Sześciu Antoni” i „Autorem zdjęć jest Kazimierz Konrad, a grają Elżbieta Czyżewska, Wiesława Mazurkiewicz, Lucyna Winnicka, Jerzy Nasierowski, Aleksander Dzwonkowski, Leon Niemczyk.

Wg scenariusza znanego autora telewizyjnej „Kobry” — Joe Alexa reż. Janusz Nasfeter i operator Jerzy Lipman realizują „Zbrodniarza i pannę” z Ewą Krzyżewską i Zbigniewem Cybulskim w roli kapłana MO. Do realizacji skierowano szerokoekranowy film zatytułowany „Kryptonim Nektar”. Scenariusz na pisał reż. Leon Jeannot oraz Edmund Niziurski. Ma to być współczesna komedia kryminalna, której głównym bohaterem jest początkujący detektyw amator. Obecnie trwają przygotowania i zdjęcia próbne.

Zespół „Syrena”, którego kierownik reż. Stanisław Wohl ukończył realizację filmu „Las” wg scenariusza Andrzeja Szczypiorskiego ze zdjęciami Antoniego Nurzyńskiego i udziałem Anny Ciepielowskiej oraz Jana Świderskiego — skierował do realizacji scenariusz Józefa Henia „Dwa żebra Adama”. Reżyseruje Janusz Morgensztern („Jutro premiera”) a autorem zdjęć panoramicznych jest operator Bogusław Lambach. Jest to historia bigamisty, który mieszka z dwiema żonami pod jednym dachem. Akcja filmu rozgrywa się w małym miasteczku, a bohater jest powszechnie znanym waleciem. Reż. Konrad Nałęcki rozpoczął realizację filmu o znanym polskim malarzu Aleksandrze Gierymskim wg scenariusza Bohdana Czeszko („Pokolenie”). Film będzie częścią dwuczęściową, a autorami zdjęć są Stefan Matyjaszkiewicz i Romuald Kropat. Główną rolę powierzono Leskowi Herdegenowi („Kwiecień”). Tytuł filmu „Mansarda”.

W „Syrenie” zaakceptowano kolejny scenariusz filmu kryminalnego, którego autorem jest telewizyjny Joe Alex. Scenariusz nosi tytuł „Śmierć i Kowalski” i oparty jest na autentycznych wypadkach zabójstwa taksówkarzy na Wybrzeżu. Andrzeju Mandallanowi zaakceptowano scenariusz „Zakochani są między nami”. Akcja rozgrywa się w ciągu jednego dnia, w lecie, nad morzem. „Wiano” to tytuł zaakceptowanego scenariusza którego autorem jest Jerzy Pomianowski. Jest to scenariusz, którego tematem będzie współczesna wieś polska.

A.N.



Sue Lyon.

O „Lolite” i innych — plotki filmowe

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

## NUDNI INDIANIE

wiem powieść musi na ekranie mieć odpowiednik w pełnym metrażu, tak jak nie każde opowiadanie czy nowela musi być filmem krótkometrażowym i wchodzić w skład pełnometrażowego filmu obok innych nowel. W przypadku „I ty zostaniesz Indianinem” scenarzysty i reżysera rozległ na siłę akcję do granic wytrzymałości. Należy więc na przykład partie filmu, w których młody bohater wypełnia indiańskie próby głodu czy czuwania. Kolorowe marzenia chłopca są zwolnione w sposób przesadny i zrealizowane jak na marzenia o Indianach bardzo nieciekawie.

Słabo radzi sobie jeszcze Konrad Nałęcki z młodocianymi aktorami, a metodzie prowadzenia dorosłych aktorów można zarzucić dziwną ospałość i słamczarnię. Nie wychodzi nie Henrykowi Borowskiemu, Wiesławowi Michnikowskiemu i Aleksandrowi Foglowi. Miejscami lryczne nawet sympatyczny Andrzej May swoją pretensjonalną

„bezpośrednią grą do widzą”. Jedyne Andrzeja Szczepkowskiego jest ciekawie odwzorowaną postacią złodzieja Szyjki, który zamiast spirytusu pragnie nauczyć się picia mleka. Andrzej Szalawski z tomahawkiem w ręku i pióropuszem indiańskim na głowie wypowiada tylko jedną kwestię: rola jego sprowadza się jedynie do noszenia stroju indiańskiego.

Szkoda, że ktoś w porę odpowiedział — a może wręcz sam reżyser filmu — że nie dostrzegł prawdziwej, iż powieść Woroszyńskiego nie wystarczy jako twórczo fabularne na pełnometrażowy film. Przecież gdyby zrealizowano to samo w szerszym tempie, używając również częściej nożyczek w montażu, wyszedłby film może o połowę krótszy, ale za to strawny tak dla młodocianych widzów, jak dla widzów dorosłych, którzy chętnie brali do ręki książkę Woroszyńskiego.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

Ze zrozumiałym dreszczykiem emocji oczekiwano na tegorocznym Festiwalu w Wenecji projekcji amerykańskiego filmu „Lolita” nakręconego na podstawie słynnej powieści Nabokowa przez reżysera Stanleya Kubricka. Film zawiódł jednak pokładane w nim „nadzieje”. Kubrick bardzo zrezygnął z wszelkich dramatycznych tematów. Bardzo do brzo zresztą zrobiony film zgubił cały nieco perwersyjny smak powieści. Przyczyniła się do tego w dużej mierze wykonawczy tytułowej roli Sue Lyon — zbyt świeża, zbyt zdrowa i zbyt głupia — jak twierdzą krytycy — by właściwie zinterpretować postać Lolity. Jak się okazuje Sue Lyon, która liczy sobie obecnie 16 lat nie czytała wcale książki Nabokowa. Zresztą Sue Lyon w ogóle nie uznaje lektury książek, pasjonuje się natomiast westernami. Do teatru chodzi, owszem, ale nie potrafi wymienić nazwiska żadnego dramaturga. Nie potrafi też nie powiedzieć na temat kreowanej przez siebie postaci Lolity. Podczas wywiadów prasowych powtarza dziennikarzom te same utarte frazesy, których wyuczyła ją jej opiekunkowie. Mężczyźni również żyje światowo. Nie lubi zabaw, nie znosi twistów ani alkoholu. Ubiera się wprawdzie u Cossignie, nadwornego krawca samej pani Kennedy, ale o stroje w gruncie rzeczy nie dba. Taka jest Sue Lyon, 16-letnia gąska ze stanu Yowa, którą zmuszono

do odgrywania dość jak wiadomo kłopotliwej roli gwiazdy.

Gina Lollobrigida w przerwach między zdjęciami do filmu „Cesarska Wenus” zaszczyliła swą obecnością Festiwal w Wenecji. Ale minęły już czasy, gdy polska ratowała boską Ginę z rak płomiennych wielbicieli. Dziś Gina zupełnie spokojnie przebyła przetrzeźnioną dzielącą luksusowy hotel Excelsior od plaży festiwalowej. Gina była wściekła. Ale cóż, czasy się zmieniły. Zmieniły się gusty publiczności. Gwiazdą nr 1 Festiwalu była nie piękna Lollobrigida, ale znakomita aktorka francuska Annie Girardot, bohaterka filmu „Smog”.

To ja i jej mąż Renato Salvatori, ścigali obiektywy wszechświatowych fotoreporterów. Jak pisze francuski tygodnik Cinemondo, ostatnimi czasy zmieniły się znacznie upodobania widzów. Publiczność woli teraz kobiety ciekawe, interesujące, od stereotypowych sex-bomb i kociaków! Tu tkwi źródło ogromnej popularności Annie Girardot, Jeanne Moreau, Mouki Vitti, Simone Signoret. Tu tkwi również źródło ostatnich niepowodzeń takich supergwiazd, jak Brigitte Bardot, Martine Carol, Lollobrigida. Te prawde zrozumiała doskonale Sofia Loren, która w porę potrafiła się przeobrazić w kobietę interesującą i w dobrą aktorkę, nie tracąc nie zresztą swej urody.

Film Pier Pado Pasoliniego „Mamma Roma” poprzedzony został pewną niepozowaną pikanterią. Franco Citti, aktor grający rolę głównego bohatera filmu, należał do środowiska lumpów, środowiska bardzo obecnie modnego w sferach rzymskiej elity intelektualnej. Citti, mający już na swym koncie różne wyroki sądowe, wystąpił także w pierwszym filmie Pasoliniego „Accattone”. W trakcie realizacji filmu „Mamma Roma” Citti został aresztowany za publiczną obrabę moralności. Musiano przerwać zdjęcia. Pasolini walczył jak lew w obronie swego pupila. Na parę dni przed projekcją filmu na Festiwalu w Wenecji, znów wybuchł skandal. Policja włoska zażądała zakazu wyświetlania „Mamma Roma” ze względu na pewne sceny filmu godzące w poczucie moralności i przyzwoistości obywateli. Jak wiadomo akcja filmu toczy się w światku prostytutek i przestępców. Złośliwi twierdzą, że policja włoska wystąpiła nie tyle w obronie moralności społecznej, ile swojej własnej. Film Pasoliniego zawiera bowiem bardzo ostrą krytykę sądownictwa i metod działania aparatu śledczego-policyjnego.

odpłosu

str. 3

# BIAŁA CZEKA AŻ REKINY SIĘ PRZEBUDZĄ

Dalszy ciąg  
ze str. 1

**B**yć może, że chłopcy by się zdziwili. Czy doszły o jakims tam języku pluga? Cóż to takiego, do licha, chyba agronom coś pokłocił. Agronom zaś musiałby wyjaśnić, że zacytował fragment z najstarszego w dziejach ludzkości podręcznika rolniczego. Cały ten podręcznik to gliniana tabliczka sprzed 3500 lat, odgrzebaną niedawno spod zwałów pustynnego piachu w sumeryjskim mieście Nippur. Semba mógłby uzupełnić, że naówczas znano wiele rodzajów uprawy zbóż, ba, orka i siew odbywały się jednocześnie. Plug zapatrywano w lejek, którym ziarno wpadało do bruzd. Lejek zwano „językiem pluga”, plug orał i siał.

Agronom nie opowiadał o starożytnym Sumerze, miał na uwadze bardziej współczesną technizację rolnictwa. Zebrał nie odbywało się w wiejskiej siali słońca, pełnej cietych kwiatów i wazonów. Chłopi siedzieli w milczeniu, bez ruchu, wpatrzni w jakiś punkt na pięciostopowym dywanie z polskimi Kowar.

„To już trzecia wersja. Nasamprzód Powiatowy Związek

Kółek Rolniczych w Wieluniu ustalił, że do pełnej mechanizacji gromady Biała trzeba 56 traktorów. Potem wzmieszał się Wojewódzki Ośrodek Badawczy i zredukował liczbę ciągników do 29. Wczoraj zajął tu przedstawiciel związku kółek z Łodzi, oświadczył, że 22 traktory będą pasować jak ułaj i jak obszył do naszych potrzeb. Z bogiem sprawa, garnitur już skrojono...”

Cisza, chłopcy w pozach sztywnych, nieruchomo. Nikt się nie wyrywał, tylko spojrzeli błędnie po kolorowych ścianach. Agronom odczekał i podjął wątek.

„W gromadzie jest 2.600 gruntów ornych. Jeśli poprzestaniemy na 22 ciągnikach, to jeden traktor przypadnie na 164 hektary ziemi. Niemożliwe, by traktor obskoczył taki obszar gruntów. Czesi mają już jeden traktor na 80 hektarów ziemi. Niemcy na 20 hektarów... Dlatego my w Białej, musimy jeszcze założyć na 100 hektarach użytków rolnych po 8 koni, Krasnoludki roboty przecież nie wykonają...”

Urwał i teraz dopiero w pokoju zrobił się ruch. Gospodarze nie wymierzili jednak kanonady w stronę maszyn, wzięli z innej beczki, zaczęli od ulubionych w narodzie narzekan. Niedobrze moi mili, nieurodzaj w tym roku, ludzie zbierają tylko „miotłę i mrzygłód”. Piękne

są te staropolskie określenia, jedne. Kłóż pomni dzisiaj w mieście, że miotła to również plaga beska, zielsko w zbożu, kłakolnica, a także kłos plonny. Kłóż sobie uświadamia, że mrzygłód to głodomorek, żminda, liżykruka. Chłopi dostrzegali ponoć głodomorka w polu, szczyrzył do nich zęby. To on przeszedł się polami jak cień i zostawił miotłę.

Rolnik szurał nogą dywan o wzorach murzyńskiego totemu. Mruknął:

„Niech to licho porwie. Zwiozę najwyżej dwa metry ziarna, sam nie wiem z czego zapłacić podatki...”

Ci obok potakiwali, zerkając chytrze na gościa z miasta. A gość śmiał się w duchu do siebie samego. Czy nie widział Białej w jej pysznej krasie? Czy nie włożył mu w oczy nowiutkie domki wyszykowane jak szlacheczkę dwory? Nigdzie mehu na słomianych strzechach. Co druga zagroda jak z igły. Czy nie podziwiał buraków w polu, rozbuchanych, aż krzyczących soczystymi liśćmi? Daj nam Boże wszędzie takie buraki.

„E... co tam buraki — rolnicy zrobili zawiedzione miny. — Nikt tu z buraków nie żyje. Owszem, w gromadzie zliczyli by można przeszło 600 plantatorów, ale wszyscy oni żyją z hodowli. Świnie? Ależ nie, chodzi o krówki. Wieprzki ani się umyją do mlecznic

jeśli idzie o dochodowość. Wieprzka trzeba tuczyć 7-8 miesięcy, przez ten czas zdąży się napchać 9 kwintalami ziemniaków, 250 kilogramami pasz treściwych, 100 litrami mleka. A to kosztuje ładny grosz. Do tego jeszcze węgiel i proszaczki po 300 złotych za parke. Tucz 120-kilogramowego wieprzka kosztuje blisko 2.000 złotych. Taki opas nie weźmie więcej w punkcie skupu. Robocizna idzie przy świńkach za darmo. Co innego dojki. Biała stoi na mleczniach. Czyszy dochód z 3 dojek sięga 100 złotych i więcej też. Dzięki wam krówki za pachnące mleko...”

Dalbóg trudno orzec, ile było prawdy w tym co mówiono, ile chłopskiej przekory, grubej przesady. Teraz poderwał się rolnik o historycznym nazwisku Sułkowski:

„Dreń są nam potrzebne, bez nich na pola koło Pysznego nie wjedzie ani jeden traktor. Bardzo nad tym boleję. Chyba, żeby miał szczydła, dostał skrzydła, albo miał pletwy jak ta ryba. Mam 7 hektarów ziemi i trzymam konia, bez konia żyć bym nie mógł...”

Sułkowski tym odezwaniam zapoczątkował serię głosów brzmiałych gorzko i zjadliwie. Worek się rozpruł:

„POM w Opojowicach żądał 25 tysięcy złotych za remont ciągnika. A tu usz-

czelki założyli z tektury i gumy, woda leje się z chłodnicy, olej ścieka na ziemię. Będziemy się sadzić jak przyjdzie co do czego, a nie zapłaciemy...”

„Konia nie sprzedam. Bez konia jak bez ręki, niech coś się stanie z Ursusem, albo traktorzystą i gdzie czego szukać...”

„Traktory we wsi Brzoza przyniosły nam już 12 tysięcy złotych strat. Jest deficyt bo brak zamówień na roboty. Brak zamówień bo na drogach kilometrów same wyrwy i dziury. Na takich weteranach najlepszy ciągnik poobrywa sobie nerki, jest do niego, zanim wejdzie między zboża...”

„Ursusy dlatego się u nas psują bo nie ma o nie ni-jakiej dbałości. Dłanie prowadzą maszynę z pola i zostawiają byle gdzie, pod gołym niebem. Nie ich nie wstrusza, że sprzęt rdzewieje w pokrzywach. A rachunek przecież wystawiać komu innemu...”

„Kółko rolnicze w Kopydłowie zamknęło rok ze stratą 28 tysięcy złotych. Traktor, żeby przynosił dochód, musi przepracować w roku minimum 1000 godzin. W Kopydłowie traktory pracowały 400 i 200 godzin. Sąsiedzi mówią, traktor jest drogi, pewnie, że tak, ale drogi bo stoi. Taki traktor też bierze prowizję, im mniej pracuje tym prowiz-

zia wyższa. Taki u niego charakter. Co tam gadać, pola w Kopydłowie są tak podmokłe, że Ursusy by ugryzły. Szarpiemy się, a traktory sobie stoją, czy nie ma na to sily...”

Ponownie zaległo milczenie. Przerwał je rolnik z Białej-Rządowej. Zauważył, że właściwie traktory to dobra rzecz. Ledwo skończył, a zdało się, że chmura czarnych myśli uleciała hen, oknem. Powstał czymś nowym. Odezwały się głosy aprobaty. Pewnie, że traktory są niezłe. Aby zarać hektar gruntu rolnik musi przebrnąć plugiem i kon-skim osadem przeszło 40 kilometrów. Negi wiedzy kamienieja, krzyże pękają, końce pałów siałą się złowrogo białe. A ciągnik wykonuje całą robotę przez godzinę. Można stanąć sobie na miechy i popalić papierosa. Technika? Wiedza niebia, nikt tu nie chciał na technikę jako taką. Traktor jest dobry, bo robi szybko, żaden koń za nim nie nadąży. To nie blachostka kiedy wykona się robotę w polu. Kto przegapi termin, zwiecie gnój nie zboże, złapie



Fot. J. Bakal

Szpital im. Janusza Korczaka w Łodzi przy ul. Armii Czerwonej 15 koncentruje w swoich piętnastu pawilonach większość specjalności dzieciecej. Oddziałów jest osiem: obserwacyjno-zakaźny, wewnętrzny, niemowlęcy, neurologiczny, chirurgiczny, okulistyczny, laryngologiczny i dermatologiczny. Wszystkie służą wyłącznie dzieciom.

Najbardziej „dramatyczne” oddziały to chirurgia i okulistyka. Książki ewidencyjne mające pacjentów stanowią tu w znacznej mierze jakby „kronikę wypadków” prowadzoną na żywo, w gorąco, w bezpośrednim zetknięciu z bólem, łzami i krzywdą ofiar. Lekarze pracujący na obu tych oddziałach stwierdzają przerażającą ilość wypadków. Na chirurgię notuje się poważne poparzenia, złamania, wstrząsy mózgu, urazy czaszki. Są one najczęściej wynikiem nieostrożnych zabaw i wypadków drogowych. Ale zdarzyło się niedawno, że dziecku rozgniół czaszkę spadający kawał gipsu...

Takie sytuacje opisywano już i pokazywano wielokrotnie. Chirurgi w kitalach, maskach i czepkach pochylają się nad operacyjnym, ich urękawiczone dłonie wykonują niezbędne, tylko niezbędne ruchy. Mówią do siebie rzadko

i krótko, i tylko na ten jeden temat. Pacjent śpi pod narkozą. Ma pewnie 7-8 lat, nie wie, teraz nie wie, że skalpel chirurga nakreślił na jego ciele krwawy ślad, który potem stał się otworem, raną. Ułożona wokół niej na białych serwetach rozgwiazda z peanów błyszczy w świetle bezcieniowej lampy, tlen sypie prosto z butli poprzez gąbkę gumową rurę do tchawicy chorego, lekarz mówi, że jest zainjektowany, narkozyt co chwila sprawdza puls na drobny, chłodny dzieciecej przegubie, albo u nosi palcami zbierałe powieki i patrzy uważnie w źrenice. Wolno im być nieruchomymi i nieczułymi, ale nie wolno rozszerzyć się zanadto. Powietrze jest ciężkie od eteru i brzęk odrzucanych przez operatora narzędzi zawisa w nim jakby dłużej.

Okulista notuje zastraszającą ilość urazów gałki ocznej — u 25 proc. pacjentów w ciągu ostatnich 3 lat. Przyczyna ich są najczęściej, u dzieci najmłodszych, wypadki spowodowane nieświadomością niebezpieczeństwa i małą jeszcze sprawnością fizyczną, u dzieci starszych — zabawy (najczęściej te „w wojsko”, z użyciem luków i patyków) oraz niewypały. Te ostatnie coraz rzadziej wprawdzie, ale ciągle jeszcze, zwłaszcza na wsi, są przyczyną najcięższych wypadków, śmierci lub trwałego kalectwa. Pracownicy oddziału okulistycznego Szpitala im. Korczaka apelują do rodziców, opiekunów, nauczycieli, wychowawców przedszkoli, aby ciągle, wyrwale powtarzali swym

KRYSTYNA WOJTASIK

## OSTRY DYŻUR U KORCZAKA

podopiecznym, że dzieciecej oczom zagraża nieustanne niebezpieczeństwo, i aby sami, poprzez jak najczujniejszą opiekę, temu niebezpieczeństwu zapobiegali.

Wszyscy wiedzą o tym, że na dole, u wejścia stoi matka. Jej słońce dociera aż tu, do korytarza na pierwszym piętrze i wszyscy wiedzą o tym, że ustanie dopiero wówczas, kiedy jeden z lekarzy odejdzie od stołu operacyjnego i powie jej: — Operacja się u-dała, ale było ciężko. Przywiozła pani późno, dziecko było prawie bez tętna...

Wówczas dopiero płacz u-cichnie. Chciałaby siedzieć teraz przy dziecku, czuć, pro-si o to.

Lekarze wychodzą na kory-tarz, palą papierosa, nie zdejmując gumowych rękawiczek. Za chwilę włożą czyste. Następny pacjent przygotowywany jest do operacji. Teraz on zająmie miejsce na stole operacyjnym, który jest zupełnie taki sam jak stół operacyjny dla dorosłych. Tylko krótszy. Dorosły by się na nim nie zmieścił. Kłóż mówi, że przyjechało pogotowie, więc trzeba zejść do izby przyjęć. Sprawa nie cierpiąca zwłoki — wypadek!

Szpital im. Korczaka posiada 359 łóżek. Przeciętne „ob-łożenie” czyli ilość zajętych miejsc wynosi 90 proc., jedynie na działach laryngologicz-nym i niemowlęcym sięga, i to stale, 100 proc. Wiele dzieci czeka na miejsca. Na-to-miast oddział dermatologiczny, leczący schorzenia skóry nie cierpi na natłok pacjentów, może dlatego, że przyjmuje jedynie dzieci w wieku od 0 do 3 lat. No i rodzice nie-rzadko lekceważą choroby skóry swych dzieci.

Dziecko wpadło pod motocykl, jest nieprzytomne, ma ranę głowy i złamaną rękę.

Dziewczynka. Wybiegła na jezdnię goniąc piłkę. Kto winien? Ona, motocyklista czy rodzice, pozwalający się bawić dziecku na ulicy? Grozi jej śmierć, kalectwo? Konieczna jest trepanacja czaszki, konsultacja z neurochirurgiem. Ta operacja potrwa długo.

W Szpitalu im. Korczaka u-ruchomiono nowoczesny ren-tengejski polskiej produkcji, natychmiast można wykonywać zdjęcia, prześwietlenia. Chirurgia w trakcie niedawnego remontu otrzymała pod-stację tlenową i światło awaryjne, na wypadek, gdyby zawiodła elektrownia. Bez-cieniowa lampa nad stołem operacyjnym zawsze musi świecić.

Laboratorium wyposażono w nowoczesny sprzęt, chociaż jeszcze nie w pełni. Potrzebny jest bardzo fotometr plomienio-owy, niezbędny do szybkiego badania składu krwi przy leczeniu ostrych stanów bie-gunkowych. Szpital odczuwa również dotkliwie brak aparatu do badania pracy serca, elektrokardiografu, zwa-nego w skrócie EKG oraz elektroencefalografu (EEG) kontrolującego procesy zachodzące na terenie mózgu. Te braki w wyposażeniu odbi-jają się na sprawności pra-cy szpitala. Wydział Zdrowia stara się je uzupełnić...

Jest już godzina druga w no-cy. Na sali operacyjnej jesz-cze świecą palą się światła, to już piąta operacja podczas tego ostrego dyżuru. Pielę-gniarki stają cicho po łóżku, czekając na sygnał, że mogą zacząć. Wkrótce skończy się letnia noc i zacznie świtać.

Biegunki i zapalenia płuc u najmłodszych oraz reuma-tyzm u dzieci starszych, to

choroby najczęściej spotykane u pacjentów oddziału inter-nistycznego.

Oddział obserwacyjno-zakaź-ny przeznaczony jest od pew-nego czasu tylko do użytku wewnętrznego. Jego kierow-nik, a jednocześnie dyrektor Szpitala im. Korczaka, dr P-szenieka-Gundlachowa, stwierdza z satysfakcją zbawien-ny wpływ coraz bardziej popu-larnych szczepień. Dotyczy to zwłaszcza dyfterytu. Obecnie przypadki zachorowań na tę jedną z najgroźniejszych cho-rób wieku dziecięcego są rzadkie, a jeszcze kilka lat temu, właśnie w Łodzi były najliczniejsze w Polsce. Kilka lat temu ilość zachorowań na dyfteryt w Łodzi równała się ilości zachorowań w całej Francji...

Lekarze i siostra operacyj-na są zmęczeni. Pogotowie z Wielunia przywiozło dziecko w ciężkim stanie, operacja była potrzebna natychmiast. Może to już jednak dzisiaj ostatnia, trzeba trochę odpocząć, od-przyć się, położyć. Nie sma-kują już nawet papierosa. Wreszcie dziecko leży na wózku, wkrótce zawiozą je na łóżko w sali pooperacyjnej. Zabieg zniósł nie najlepiej, potrzebne były zastrzyki. Był nawet moment trwogi, że nie wytrzyma, że za późno. W ci-szy, która nastąpiła, powoli wraca oddech, miarowo unosi się klatka piersiowa, ale czuła operacyjna okrywa pot.

Nareszcie. Ale jeszcze je-dno dziecko czeka w izbie przyjęć, stan również ciężki, przypadek trudny do ustale-nia, mylące diagnozę obja-wy. Wreszcie decyzja — za-trucie. I rzeczywiste telefon z domu potwierdza rozpozna-nie (ojciec — stwierdza, że dziecko zjadło 18 tabletek Izo-chiny. Była, oczywiście nie-zabezpieczona). 18 tabletek — dawka śmiertelna. Trzeba ra-tować dziecko! Szybko pluka-

nie żołądka i zastrzyki, ko-nieczne zastrzyki pobudzające krążenie, bo... Ma takie o-gromne, nieprzytomne źreni-ce.

Teraz już świta. Dziecko le-piej. Jeszcze kilka poleceń dla siostry, później mały przenie-siony zostanie na internę. To chyba wszystko, można od-począć. Jak smakuje teraz zimna, niedopita poduszka ko-lacji herbata. Przez szeroko otwarte okno dyżurki wpły-wa chłodne powietrze. Od ty-lu godzin nie czuło się w płucach świeżego powietrza, na sali operacyjnej nie wol-no otwierać okien, aby nie wpadały przez nie owady i kurz, a wentylacja jest bar-dzo kłopotliwa. Zostało jeszcze trochę czasu na odpoczynek, o godzinie ósmej rano rozpo-czyna się normalna praca szpi-tala.

Warto w tym miejscu jesz-cze nadmienić, że Polska prze-żywa obecnie „kryzys kadr chirurgicznych”. Brak narybku, młodych przestala poja-wiać fascynująca atmosfera sa-li operacyjnej i dramatyzm walki o życie ludzkie. Stali się jakoś bardziej realistami, dostrzegają raczej, że praca chirurga jest odpowiedzialna, wyczerpująca a nie płacna. Niektóre szpitale czekają na objęcie swych wolnych eta-tów chirurgicznych, ale chętnych jest niewiele. Na brak asystentów narzekają nawet kliniki sławnych profesorów. Można chyba ogłosić alarm. A przede wszystkim szukać środków zaradczych.



W polu głodemierka za rogi. Kto przegapi siew rzepaku, straci na pniu kilka tysięcy złotych. Kto zagapi się z polonami, niech lepiej zawiezie wykę i lubin tej babei w chustce, na targu w Wieluniu. Traktor jest dobry, bo nie ma tej mordęgi. Młodzież ucieka ze wsi? To prawda, że ucieka, ale nie od ziemi ucieka, od potu ucieka.

W słowach gospodarzy nie dźwięczały żalobne nuty. Nie traktory są złe, a niemożność korzystania z nich. Byłoby absurdem spoglądać do tyłu, kiedy każdego aż rwie do przodu. Bezczytność ciągników wyprowadzała tych ludzi z równowagi. Tak się złożyło, że rok był mokry. Pyszna już w czerwcu wystąpiła z brzegów. Potworzyły się bajora i tygodniami złośliwie mrużyły swe ślepie do rolników. Jakis prehistoryczny kataklizm wdepnął Białą w nieckę, jak w dołek. Woda zewsząd spływała do wioski, tu osiada. Kleśka zaozyna się, gdy bóg deszczów bierze prysznic nad Białą. Wtedy wszystko traci tu wonia błotna.

„W Białej-Rządowej uratował nas transport. Traktory przyniosły zysk. Wozimy nimi kartofle, cegły, tarcie, nie ma to, jak transport...”

Semba wniósł do tego sądu poprawkę:

„Wolilibyśmy, żeby traktory więcej pracowały w polu. Ale to jest niemożliwe. Melioracja, melioracja, wdychamy do drenów. Mamy już w gromadzie 20 traktorów, już dziś powinno być tylko 8 koni na 100 hektarów ziemi, jest ich niestety 13. Przybyło nam 11 ciągników, a w tym czasie ubyło tylko 10 koni. A przecież jeden traktor zastępuje pracę 4-5 koni. Zastępuje w teorii, bo koni jeszcze nie wyparł, że są. Dużo mamy traktorów, puściłyby się w galop, tylko że nie mogą...”

To łatwo kupić gotowy traktor i przyprowadzić jak rumańską za ucie. Tylko że najłatwiejsze rozwiązanie rzadko bywa najlepsze. Ciągnik nie ryba, nie pływa. Wpierw drogę, w pierwej dreny — powtarzały się głosy.

Mijały godziny, wreszcie deszcz przestał dzwonić w szyby. Gospodarze wyszli na dwór. Trzaskę się posłisa, zaprzęgając konie i ruszą w pole. Do ciężkiej roboty rusza, nie do oddzielania puchu od pierza. Jeden z nich przyjrzał mi się na odchodem uważnie:

„Nie te konie co dawniej. Nikt już im tak nie sypie owsem jak kiedyś. Koń idzie teraz do lżejszej roboty, bronowania, grabienia. Do cięższych, kto tylko może, wypożycza traktor. Ludzie niby narzekają, ale jak tylko ziemia obeschnie, zaraz w te pedy lecają najnowocześniejsze do roboty. Pochudły nam koniki, skapełniały. Nikt już nimi nie jeździ na wesela i do chrztu. Wstyd byłby w oczy spojrzeć. Idą te szkapiny noga za nogą, człap, człap, za łbem spuszczone, chabaty jakie. Nikt im nie podtyka. Jak mi siwek padnie, to nowego już nie kupię. Grobelny też nie kupię. Pamięć traktor to wielki rek. Powinien poćreć, jak mówią, 4 konie, ale jeszcze nie poćre. Za to konie gotowe nas poćre. Co za nienazarte bydła. Szkapka zżera w roku jak nie, 15 metrów owsa...”

Przychodzi na pamięć anegdota.

— Moim zdaniem, pan nie jest właścicielem tej ziemi — rzekł inżynier do chłopca posiadającego 2 hektary grunów.

— Jakże to — przestraszył się rolnik. — Przecież mam akt rejestracyjny.

— Nie szkodzi — upierał się inżynier. — Pan jest tylko współwłaścicielem, bo drugim współwłaścicielem jest koń. To on zżera przecież polny z hektara ziemi.

Biała żegnała mnie wstęgą sądów rozwijającą się szeroko wzdłuż traktu na Wieluń. Sady, sady, na galeziach skapo było owocu. Już tak jest na roli, że w jednym roku udaje się rzepak, a w drugim przepada jęczmień. I jeszcze długo tak będzie. Porcie tłumy ciągników obcięto dla Białej z 56 do 22. Chytre posunięcie, kto wie czy też nie mądre. Nie jedź więcej, niż możesz przetrwać... Zresztą lepiej mało niż nie. Niechaj w pierwej mała orkieszka zagra na wszystkich instrumentach, potem przyjdzie kolej na większą.

Sumeryjski plug, co to oral i śiał, zagadkowa jakaś maszyna. Swoją drogą, „język pluga” też mógłby być smaczny kaskiem, takim dodatkowym do ciągników. Na przekaskę dla rekinów.

JAN BABIŃSKI



## Dalszy ciąg ze str. 1

nego przez Niemców w fabrycznym magazynie.

Tak wyglądała ekipa rewindykacyjna Sczocowskich Zakładów Wyrobów Filcowych, która wyruszyła na poszukiwanie zagrabionych przez okupanta maszyn.

Znaleźli je w Raciborzu. I właśnie wtedy bimber zapobiegł katastrofie: opornym, a prawem kaduka ustanowionym właścicielom sczocowskich maszyn żaden argument z początku nie trafiał do przekonania. Nie pomagały prośby, ani groźby. Dopiero 50 litrów mętnego samogonu zrobiło swoje i sczocowianie mogli odzyskać upragnione maszyny. Czasami i bimber ma swój ważny wkład w dzieło uprzedzenia.

\* \* \*

Ale najpierw był Hückel. Wprawdzie tę część opowieści o sczocowskich kapeluszach można by było tradycyjnie — „już starożytni Grecy”, ale byłby to truizm i w gruncie rzeczy byłaby to dziennikarska błąka, gdyż tymi pierwszymi z pierwszych, którzy zaczęli używać pilśni do wyrobu nakryć głowy byli Egipcjanie. Sama produkcja wyglądała oczywiście zupełnie inaczej niż dziś w sczocowskiej fabryce i jak twierdzi kronikarz: „najpierw rozczyszczało wełnę w warstwie runa spoczywającej na drewnianej lub kamiennej płycie, następnie skrapiano je wodą lub moczem i bito cienkimi prętami aż do wytworzenia filcu o potrzebnej gęstości”. Używanie filcowego kapelusza było niegdyś przywilejem wyróżniającym wolnego Rzymianina, a wyzwani niewolnicy otrzymywali symboliczny dar — „pillos” czyli pilśniowe kapelusze. Podobno Brutus i Kasjusz po zamordowaniu Cezara kazali wybrać specjalne pamiątkowe monety, na których, pomiędzy dwoma miedziami, widniał zwyczajny pilśniowy kapelusz — symbol wolności.

Tę historyczną genealogię nakrycia męskich głów przytaczam nie bez kozery. W Sczocowie podkreślają te fakty i nigdzie nie sprawdzone fakty jako coś co ma uszlachocić, co najmniej być ochronnym puklerzem dla tego stożka pilśni, który może nabyć w każdym sklepie z kapelusznymi w cenie już od 90 do 265 złotych.



# KAPELUSZ noś i przy POGODZIE

szów. Toteż sczocowianie nie zechcą zapewne mi wybaczyć, że machną ręką na wzmianki Glogera w „Encyklopedii Staropolskiej”, iż to: Zygmunt August Rex Poloniae, Henryk Waleczus i Władysław IV lubowali się w olbrzymich szerokoskrzydłych kapelinach, a w Warszawie istniał cech kapeluszniczy i w roku 1776 w Lesznie Wielkopolskim było kapeluszników trzech...

Wiec — Hückel. Gdy w roku 1779 w Nowym Iczynie zaczął produkować pilśniowe stożki, które miały następnie ozdabiać męskie głowy, nikt nie wróżył mu powodzenia. Przecież niedawno sam Antoni Protazy Potoc-

Związek Radziecki jest jednym z najważniejszych odbiorców polskich kapeluszy. A sczocowianie twierdzą nie bez dumy, że podobno N.S. Chruszczow nosi nakrycie głowy zrobione pod Beskidem z rucha polskich „cięć” i królików. Z całą pewnością mogę powiedzieć, że Łódzka Centrala Eksportowa Przemysłu Lekkiego — OETEBE sprzedała w roku 1961 do ZSRR kilkadziesiąt tysięcy sczocowskich kapeluszy.



ki wojewoda kijowski „raczył” spłatawać ze swoją fabryczką kapeluszy w Machnówce koło Berdyczowa.

A jednak... Trudno powiedzieć co zdecydowało. Czy wynalazek prof. chemii na Uniwersytecie w Getyndze — Fryderyka Heerena, który pierwszy podał receptę dotąd tajemnego sposobu wyprawiania włosów przy pomocy zaprawy azotanowej, czy też może było znacznie prostsze: parskie modnie wzięły przykład z wojów Małego Kaprała, a armia Napoleona szycująca się na podobieństwo Europy gwałtownie potrzebowała sukienne czapki. Faktem jest, że te właśnie lata pozwoliły rozwinąć skrzydła im Hücklowi Pierwszemu.

Po nim przyszli następni, a droga z Iczyna wiodła nad Bładnicę do Sczocowa. Tam również bierze się początek drogi nowoczesnego polskiego kapelusza.

\* \* \*

Z czego powstaje więc taki zwyczajny, męski kapelusz?

Józef Drobik zamiast odpowiedzi prowa-

dzi mnie w kął fabrycznego podwórka. Stos czegoś, co kiedyś przyozdabiał królice i zajęcze grzbiety.

— Bo widzi pan, trzeba mieć najpierw przynajmniej

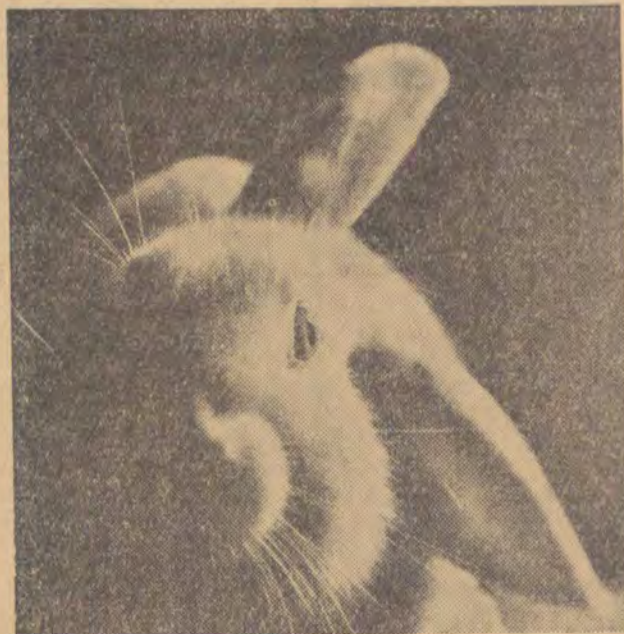
cztery i pół królika lub za-

jaca...

Na początku głos zabiera chemia. Wynalazek prof. Heerena nie nie stracił ze swojej aktualności i tak jak sto lat temu z okładem królice i zajęcze skórki traktuje się najpierw azotanem. Potem koleją na gruntowne postrzyżyny, czyszczenie włosów. Myślałem, że tyko farmaceuci potrafia po... aptekarsku wymierzać i dozować różne porcje. Okazało się, że nim powstanie kapelusz trzeba przeprowadzić podobne operacje, jak w przypadku preparowania aspiryny. Jest nawet do tego celu przygotowana specjalna recepta, a specjaliści twierdzą, że nie wolno od niej odstąpić nawet o pół grama, gdyż wtedy „SUPERIOR” przestanie być sobą, a „FRIMAS” czy „DUPLEX” będą mniej miękkie i stracą swoją lekkość zajęczego puchu.

„Superior”, „Frimas”, „Duplex”, „Aero-Lux” i „Zephyr” to nazwy już gotowych i pięknie ozdoblonych wstażek lub jak to obecna moda dyktuje specjalna taśma sepek i tysięcy kapeluszy, które powstają w sczocowskiej fabryce. Na każdy z nich składa się od 160 do 180 gramów zajęczego lub króliczego puchu, zebranego właśnie z owych czterech i pół skórek, dziesiątki różnych zabiegów, jak choćby oczyszczanie włosów w maszynach — dmuchawach, formowanie pod gorącą parą i wodnymi biczami w ogromne stożki kapelinów. Jeszcze przychodzi „doprawianie” chemikaliami tak by nawet oberwanie chmury połączone z długotrwałą ulewą nie zmotało twojej głowy jeśli jest ona chroniona sczocowskim „Dyplomatem” czy „Astrą”, farbowanie na kolory, jakie dyktuje moda i często równie egzotyczne, co wymagające odbiorcy. Wiec — jeszcze tylko formowanie na drewnianych wzorcach odpowiadających kształtom męskiej głowy przeciętnej obywatela „peeri” czyjeś sprawne ręce zarysowują rondo, uszywniają kaplin

Przeciętny obywatel „peeri” nosi na ogół kapelusze o wymiarach od nr 53 do nr 59. Niemniej do Sczocowa przychodzi specjalne zamówienia na numery mniejsze — poniżej 52 oraz kapelusze olbrzymie o numeracji idącej w górę od 59. Poza tymi specjalnymi zamówieniami sczocowski zakład ubrał również w oryginalne kapelusze z orlim piórem całą Brygadę Podhalańską Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego.



i prasują, by całość mogła trafić pod obracające się tarcze szlifierskie, obełgające skórą rekina. Podobno — tak przynajmniej twierdzą w Sczocowie — tylko chropowatość skóry tego dra- pieżnika potrafi tak „czysto” wymodelować i przygładzić każdy włoski pilśniowego puchu polskiego zajęcia czy królika, wydobyć z niego ów ceniony przez elegantów polski, nadeć mu delikatną miękkość. Wreszcie pora na dodatki krawieckie i reprezentacyjną galanterię: podszewkę, pasek skóry zwany tutaj potnikiem, no i oficjalną wizytówkę już nie „Hückla”, ale Sczocowskich Zakładów Wyrobów Filcowych.

\* \* \*

Może pan przymierzyć nasz najnowszy model „Aero-Luxa”?

Dyrektora sczocowskiej fabryki — Stefana Klimka nie zastałem, podobno wyjechał do... Łodzi wyklócać się w Zjednoczeniu o nowe inwestycje, które mają zamienić stary i wysłużony Sczoców w rzeczywistą nowoczesną fabrykę. Honoru domu robił więc w zastępstwie inż. Bogdan Bejm.

W Sczocowie mówią o nim, że choć to „łódzki import”... króliki i zajęcze chodzą mu po głowie. W tym miejscu konieczne jest wyjaśnienie: w miasteczku nad beskidzką Bładnicą taka wizytówka nie jest czymś ośmieszającym, wręcz odwrotnie — dowodzi, że temu komuś bardzo leży na sercu los sczocowskich kapeluszy, które przecież w gruncie rzeczy na zajęczych i króliczych skórkach „stoja”. Stąd to zainteresowanie p. Bogdana, który choć teraz mieszka w podgórnym Jaworze i dba o piękne kształty sczocowskich kapelinów — nadal z sentymentem wspomina Piotrkowską i pisze, pisze dziesiątki artykułów oraz naukowych dysertacji dających się sprowadzić do jednego problemu: zajęcie i królik, a sprawa polskiego kapelusza!

— Bo widzi pan...

Tym razem p. Bogdan zrezygnował z wtajemniczenia profana w zawilosci wiedzy o zaletach i wadach króliczego futerka. Chodziło o modę, Rybkowskiego i jego film pt. „Kapelusz pana Anatola”. Wszystko to razem jakoś się zbiegło i nagle męska część polskiego rodu zaczęła przedkładać nawet fałszowane baskijskie berety nad inne pilśniowe nakrycia głowy, a jeżeli już kapelusz to raczej z cienkiej popeliny, ot, taki sam jak te, które tyle kłopotu i przygód nastroczały filmowemu Anatolowi.

— I proszę sobie wyobrazić, że to myśmy sami się do tej kłęski przyłożyli!

W głosie inż. Bejma przebiega święte oburzenie człowieka ugodzonego podstępnie w najczulsze miejsce, prawie że pozbawionego radości życia, przepraszam —

powodzenia sczocowskich kapelinów. Ale — kto mógł przewidzieć, że zamówienie przez zespół filmowy realizujący „Anatola” kilkuset kapeluszy na rekwizyty do tej komedii, pociągnie za sobą prawdziwą lawinę przyczyn i skutków, narobi tyle galimatiasu, ba, wstrząśnie podstawami całego polskiego przemysłu kapeluszniczego!

Ten okres zapisany jest w kronice fabrycznej na kartkach obwiedzionych niemal czarną żalobną obwódką. I nie ma się czemu dziwić, ani żartować, bo skutki były rzeczywiście fatalne: W Polsce jest w tej chwili tylko JEDNA fabryka kapeluszy, właśnie zakłady w Sczocowie, a wobec braku zapotrzebowania trzeba było zlikwidować takie wytwórnie, jak choćby łódzkiego Goeperta, czy też kilka innych mieszcących się pod Raciborzem, w Bielsku i Złotorzy. Na szczęście dla Sczocowa czasy Polski „beretowej” już powoli mijają. Co miesiąc znad Bładnicy rusza w kraj i świat około 70 tys. „na medal” odszykowanych pilśniowych stożków, które następnie ozdabiają męskie

Szukając dróg do unowocześnienia kapelusza, sczocowski zakład korzysta z usług różnych placówek naukowych a m.in. Uniwersytetu Jagiellońskiego. Myśli się również o zastosowaniu przy produkcji włókien sztucznych i syntetycznych.



głowy, a ludzie którzy tutaj w Sczocowie po 30 i więcej lat stracili na formowaniu pięknych kapelinów mają nadzieję, że będą obchodzili wraz z fabryką „srebrne wesela” polskiego kapelusza. Bogdan Bejm mówi o tym fakcie sczocowskiego życia jak o osobistym sukcesie. Wiec — kapelusz z głowy panie redaktorze!

\* \* \*

Właśnie, że nie mogłem zdjąć z głowy kapelusza będąc w Sczocowie. Z kieszeni wystawał mi również baskijski beret, ale jak tu taki nałożyć, nawet gdy pada deszcz, w Sczocowie — stolicy polskiego kapelusza. Tym bardziej że grzeczni a dyskretni gospodarze tak na wszelki wypadek żegnając gości mówią: — Proszę pana, najelegantszym nakryciem głowy dla męszczyzny jest kapelusz. Kapelusz nosi się nawet przy pogodzie!

KRZYSZTOF POGORZELEĆ

## informacje i zaczepki

W Zagrzebiu, w Jugosławii odbywał się niedawno II Międzynarodowy Festiwal Teatrów Studentów. Polskę reprezentował zespół Akademii Medycznej z Łodzi „Cytryna”. Łódzcy medycy wystąpili w Jugosławii z programem „Pawie i pawlaki”.



Do rodziny dziwolągów językowych przybył jeszcze jeden „nowotwór”. Otóż przeczytaliśmy ostatnio w „Głosie”, że autorem projektu pewnego łódzkiego biurowca jest „projektant pracownik inż. arch. S. L.”.



Nie wszyscy zapewne wiedzą, że w Łodzi redaguje się dwa poważne periodyki naukowe poświęcone archeologii: „Glossarium Archeologicum”, wydawane w 25 językach oraz polską serię „Inventaria Archeologica”.



Zachęcamy naszych czytelników do obejrzenia w Ośrodku Propagandy Sztuki (park Sienkiewicza) wystawy malarstwa krakowskiego. Kraków jest, jak wiadomo, jednym z najważniejszych ośrodków plastycznych i wystawa jest tego faktu potwierdzeniem. Słowem — warto zobaczyć.

Jerzy Nowosielski — jeden z wybitniejszych malarzy współczesnych — cenił bardzo także za granicą — opuszcza podobno Łódź. Bliższe przyczyny są nam nieznane. Wystarczy jednak, że powiemy, iż ten wybitny artysta nie otrzymał profesury w łódzkiej Wyższej Szkole Plastycznej. Pojeździe do Krakowa i tam otrzyma. W Łodzi natomiast będzie się nadal narzekać na elitarystę twórców.



Niedawno gościł w Łodzi Teatr im. Osterwy z Lublina. Na marginesie tej wizyty warto wspomnieć, że dwaj członkowie tego teatru Jan Machulski i Stanisław Mikulski pochodzą z Łodzi i tu zaraz po wojnie znani byli jako działacze harcerscy.

J. W.

Już na pierwszych koncertach Presleya dziewczęta rwały na sobie bluzki, a chłopcy ulegali pierwszym napadom furii. Kiedy połamano krzesła w salach koncertowych New Jorku, szalowi rock and rolla zaczęła ulegać cała Ameryka po niej zaś Europa. Londyn, Paryż, Berlin, Kopenhaga, Belgrad, a w końcu i Warszawa, stały się widownią zbiorowych chuligańskich wyburzeń.

Jesienią — 1958 r. „Komety” Haley przyniosły za pośrednictwem swych wielbicieli 10 tys. dolarów szkoły berlińskiego Sport Palast. W Hali Mercha w Hamburgu straty wyniosły 5 tys. dolarów. W Essen, również „z okazji” występów Haleya doszło do poważnych starć band chuligańskich z policją.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

# DŹWIĘK SZALEŃSTWO

W 1960 r. w Belgradzie z trzech zaplanowanych tam występów Haleya odbył się tylko jeden — wyjątkowo zresztą obfitujący w awantury. Bill otrzymał pełną rekompensatę pieniężną za obojętne umowę drugiego i trzeciego koncertu, po czym opuścił granice Jugosławii, odwpułując występy w innych jej miastach.

Masowe pochody uliczne starcia z policją, awantury w salach koncertowych i poza salami — to zjawiska zrosnione z rockiem już od chwili jego narodzin.

W Polsce epidemia rocka przebiegała podobnie. Młodzież nasza, ulegając z jednej strony sugestii tej muzyki, z drugiej zaś jakiejś manii naśladowania dorównywała i dorównuje siłą i częstotliwością „rozróbkom” swym rówieśnikom z Zachodu. Przykładem tego mogą być wypadki łódzkie. Trzy lata temu już na trzy godziny przez występem zespołu „Rythm and Blues” milicja zmuszona była rozprężyć liczne i skore do awantur grupy młodych łódzian, formujące się i operujące w rejonie Grand Hotelu.

Parę miesięcy temu w łódzkim MDK próba zespołu „Czerwono-Czarnych” prze-

kształciła się w kolektywną „rozróbkę” widowni. Sala MDK uległa poważnemu zniszczeniu. Interweniowały z pałkami w rękach oddziały MO.

Młodzież całego niemal świata uznała rock and roll za swoją muzykę i nikt nie miałby nie przeciwko temu, gdyby jej odbiór nie wykraczał poza granice przyzwoitości. Właściwy odbiór big beatu (dziś pod tą właśnie nazwą kryje się rock w Polsce) to już poważny problem obyczajowy, naglący do wyjaśnienia i godny z pewnością tego, by poświęcić mu więcej niż dotychczas uwagi.

II.

„Big beat” to po angielsku — mocne uderzenie. Mianem big beatu określił pewien pomysływny dziennikarz z Wybrzeża wszystkie

zawdzięcza w dużym stopniu nawrotowi do prymitywizmu muzycznego. Z jazzu wzięł ekspresję i swing, wulgaryzując go tak jak swą melodię i harmonię, czyniąc go jednak zarazem jednym z najważniejszych swych elementów.

Big beat to często niebezpieczna muzyka, działająca na słuchacza z ogromną siłą, niebezpieczna szczególnie tam gdzie ma do czynienia z niewyrobionym muzycznie słuchaczem. Tam więc, gdzie widownia surowa, o awanturę najłatwiej, tam właśnie połamane krzesła, potłuczone szyby. Z całą pewnością można stwierdzić, iż opętany szal widowni wywołany jest w dużej mierze za pośrednictwem muzyki. Z badań i obserwacji lekarzy wynika, iż na człowieka działa najsilniej rytm parzysty; pobudzając serce i oddech jest wymarzoną akompaniamentem dla pracy i bójki. Big beat będąc rytmem parzystym ma wszelkie dane, by działać na słuchacza zarówno w pozytywny jak i negatywny sposób.

Dr med. Jerzy Marian Rymszewski w pracy „Muzyka a sugestie” pisał:

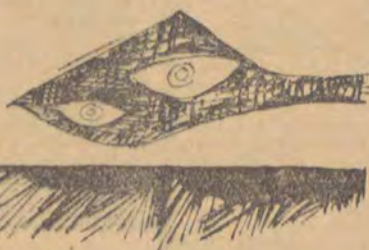
„Oddziaływanie sugestii odbywa się przeważnie poza sferą logicznego i świadomego myślenia. Perswazja i logiczne uzasadnienie nie mają takiego znaczenia, jak prosty i krótki nakaz woli. Sugestia przyjmowana jest bezkrytycznie i dlatego też głównym terenem jej operowania jest sfera podświadomości człowieka. Z tego też powodu, w twórczości muzycznej dzieła najbardziej konsekwentnie i logicznie „na zimno” przemyślane nie robią tego wrażenia, na publiczności, co niekiedy proste i prymitywne utwory, działające nie za pomocą logicznie przemyślanych konstrukcji muzycznych, ale oddziaływujące wprost na sferę uczuć, pragnień i dążeń. Prymitywizm muzyczny posiada dużą siłę przyciągającą, nie tylko dla szerokiego mas i jednostek muzycznie niewyrobionych, lecz również dla natur bardziej subtelnych, a znużonych zbyt jaskrawymi przejawami cywilizacji”.

Wszystko to, co odnosi się do muzyki prymitywnej z całą pewnością dotyczy również big beatu. Nikt nie twierdzi jednak, że szkodliwie działanie tej muzyki musi być nieuchronną koniecznością. Z doświadczeń i obserwacji wynika, że uległość wobec muzyki zależy najczęściej od samego słuchacza. Tak więc nawet w przypadku big beatu — muzyki tłumy i kolektywnego odbioru — jednostki wewnętrznie zdyscyplinowane potrafią oprzeć się nie tylko sugestii muzycznej, ale również potęgającemu wrażeniu tej sugestii ogólnemu szalowi widowni.

Wymogi dobrego stylu bycia na koncertach big beatowych można porównać do rygorów kulturalnego zachowania się przy stole w czasie przyjęcia, gdzie każdy

JERZY WALEŃCZYK

## RZYMIANIE



Kroki Rzymian dudniące w sosnach luskowatych, Pycha ich jaśnieje na małych owalnych tarczach, Kontrast nie jest jednością. Śmierć jest od nas wytrwalsza.

Kroki Rzymian i domysł ocenia ich liczbę i siłę, Sponad chaosu imperium Syriusz losy dostrzega, To olejkami naciera dłonie rozjemca, delegat.

Kroki Rzymian dudniące, śliczny jest gwiazdy podział, To pokrewieństwo rysunku i rdzy na monetach z cesarzem, Ta starta linia obwołu dyskutowanych zdarzeń.

Kroki Rzymian dudniące, duchem ojca Hamleta, O piątej godzinie poranka prasa się ukaże, Intencjonalna zapewne. Z Lolitką stary blazen

Kroki Rzymian usłyszy w fizjologicznym smutku Bez plaży, rozległych ramion młodego, gniewnego rywala.

Ten las. Te cienie. To prawo rzeczywistości ruchomych, Te słowa osamotnione: „Oddaj mi moje legiony”.

wania się przy stole w czasie przyjęcia, gdzie każdy dobrze wychowany człowiek panuje nad swym największym nawet apetytem, nie ulegając z pewnością bardzo imperatywnym apelom żołądka i nie rzucając się na rozkosze menu, jak człowiek dziki.

Będąc ostatnio na koncercie „Czerwono-Czarnych” zauważyłem, że wielokrotnie napomnienia konferansjera, kierowane w stronę najbardziej rozwrzeszczanej i rozgwieżdżonej części widowni odniosły w końcu pożądaną skuteczną. W drugiej części koncertu, nawet przy najbardziej ekspresyjnych redukcjach zespołu, umiar w reakcji widowni został zachowany, gwizdy i wrzaski umiarkowały niemal zupełnie, pozostały tylko żywiołowe brawa, co poza ramy kulturalnego przyjęcia muzyki nie wykraczało.

Wniosek stąd, iż zespoły big beatowe muszą sobie publiczność wychowywać, czy-

niąc to drogą perswazji, napomnień, a nawet przerwania w połowie koncertu. Przerwany wraz z początkiem „rozróbki” koncert wydaje mi się najlepszą nauką — ostrzeżeniem przed powtórzeniem awantury. W owej perswazji nie od rzeczy może być argument, że bezmyślnie naśladownictwo fasonu młodzieży z Zachodu i zbytnia uległość wobec muzyki wyrządziły tak dużo szkód samemu big beatowi, który poprzez swych odbiorców skrzywdził z kolei jazz, wciąż niesłusznie z big beatem utożsamiany.

Wychowała sobie publiczność filharmonia, wychował jazz, być może, że i muzyka zwana big beatem poprzez odpowiednie środki wychowawcze i odpowiedni repertuar, przestanie być plagą sal koncertowych i być może nadejdzie czas, w którym nawet najgorętszy odbiorca słuchając jej nie wykroczy poza ramy dobrego zachowania.

LEOPOLD BECK

## W SPRAWIE GOLDONIEGO

(Z okazji spektaklu Teatru Nowego)\*

Trzeba się radzić starszych, co dużo przemyśleli, wędrując przez ten świat. Dlatego też przed sprawozdaniem z „Uczciwej dziewczyny”, wystawionej w Teatrze Nowym, zasięgnąłem rady pewnego dyrektora teatru w Weimarze. Usłyszałem, co następuje:

— Autor (czyli Goldoni) zasługuje na wielką pochwałę, tworząc z niczego najprzyjemniejszą rozrywkę. Ale mógł on to osiągnąć tylko w tonie własnego wesołego ludu. Maski dla nas prawie mumi bez życia i znaczenia, tutaj (mowa o Wenecji), jako dzieci tej krainy, oddziaływują świetnie. Gdy się przez

większa część roku samemu biega w masce, nie widzi się nie dziwnego w tym, że zjawia się one na scenie...

Koniec. Ale nie cytuję, bo tego, co usłyszałem od Goldoni nie powtarzam dosłownie, oddaję raczej sens udzielonej mi o Goldonim informacji. Wynika z niej, że w roku 1786 Goethe uważał, iż sztuki Goldoniego są ściśle związane z jego czasem i miejscem, a więc z Wenecją czy też całą Italią. W innym czasie i innym miejscu czar Goldoniego prysnął — taki to wniosek należałoby wyciągnąć z opinii Goethego. Minęło już jednak 176 lat od

dnia, kiedy podróżnik z Weimaru oglądał w rodzinnym mieście Goldoniego i w rodzinnym wykonaniu jedną z komedii Wenecjanina, zachwycając się sztuką i grą. A teraz Teatr Nowy dowodzi, jak już przedtem wszystkie bez wyjątku teatry Europy, że Goethe nie miał racji, iż Goldoni w innym miejscu, bo w Łodzi, i w innym czasie, bo po stu siedemdziesięciu sześciu latach, nadal „zasługuje na wielką pochwałę, tworząc z niczego najprzyjemniejszą rozrywkę”.

Dla niektórych jest to nawet rozrywka o podwójnym dnie, jak mówią uczeni. Po



Urszula Modrzyńska.



Bohdan Baer.  
Fot. G. Puciato.

# ŚWIĘTY ANTONI

Obraz świętego znajduje się na ołtarzu w bocznej nawie kościoła. Panuje tu mrok i tylko w bardzo pogodne przedpołudnia pada nań jaśniejsza smuga światła z kolorowych witraży. Można wtedy zobaczyć całą postać świętego. Obraz jest stary, trochę zamazany, nie widać tła, które złoło się ciemnobrązem z habitem. Widać sznur zakonny i twarz okoloną aureolą; twarz może podobna do pierwowzoru, jaki wymalował Tycjan na fresku Scuola del Santo w Padwie. Kolorowe promienie padają na dolną część twarzy, gdzie najwyraźniej można zauważyć dobrotliwy uśmiech. Wyraża się w nim dobroć, przyjmująca cierpliwie wiele ludzkich prośb o pomoc i poradę. Ile radości, smutków uderza w tę twarz! Ile chytrości, dobroci i niewiści! Od wielu lat a nawet od wieków ludzie zanoszą prośby i podziękowania do świętego. Jest to stary zwyczaj, coś w rodzaju

Tylko oczy bab płoną ekstatą, a z ich gardel wydobywa się ni to jęk, ni to śpiew brzmący, jak głos ostatniej rozpacz. Z ich skulonych postaci bije coś jakby rozpacz. Zda się, iż wszystkie nieszczęścia świata gniotą tłumek skupiony wokół ołtarza, jak w łodzi ratunkowej na wzburzonym morzu. Inny nastrój następuje, gdy ministrant podaje księdzu listy. Wtedy z oczu kobiet znika ekstaza, a na jej miejsce przychodzi ciekawość. Bo przecie tu pod obrazem świętego można się dowiedzieć tylu ciekawych rzeczy i spraw.

Zaraz przy samym ołtarzu klęczy stara Wańtowiczowa i bije się w wyschłe piersi. To ona najgłośniej odmawia modlitwy i wtedy jej chuda, pomarszczona twarz ma nieziemski wyraz. Wskuste usta, poruszają się bardzo szybko a rzadkie pojedyncze zęby kłapią. Uszy jej się wydłużają, gdyż ksiądz zaczyna odczytywać listy. Czy też

ich cały rok w małej ziemiance pod stodołą, a kiedy nie dali obiecanej reszty, poszedł na posterunek i doniósł o ukrywających się jakoby bez jego wiedzy Żydach. Zostali zastrzeleni w lasu pod miasteczkiem, a



skrzynki życzeń, podawany dawniej ustnie, potem w postaci listów i karteczek. Co wtorek w godzinach rannych odbywa się nabożeństwo, zaś po nim ksiądz odczytuje owe prośby i podziękowania. Chór kleryków odmawia łacińską modlitwę, a tłumek pobożnych wysłuchuje uważnie treści listów i karteczek. Migocą świece i w ich blasku twarz świętego zdaje się poruszać, a jasna aureola jakby wyskakiwać poza obraz. Od ołtarza bije zapach kadzidel, od tłumy woń potu i mokrych chust. Mieszają się we wszystkie wonie tworząc specyficzny zapach kościelny. Modlitwy i hymny łacińskie płynące z ust kleryków są strzeliste. Ich głosy brzmia dziwnie basowo, dobijając do wysokiego sklepienia. Wonie, barwy i dźwięki mieszają się tworząc dziwną całość skupioną wokół uśmiechu świętego. Basy kleryków huczą w patetycznym Laudate Dominum tak mocno, że aż płomyki świec drżą.

i jej list zostanie odczytany? Jest tam wyraźna prośba o ratunek dla syna, który siedzi w więzieniu. — „Prosim Cię Święty Antoni — brzmia słowa listu — aby syn mój Jasek Wańtowicz uwolniony był od kryminalu, za co niewinnie siedzi, amen”. — Ksiądz odczytuje pismo powoli, czasem się zacinając, gdyż niewyraźnie zostało napisane. Wiadomo wszystkim słuchającym, jak to było z tym Jaskiem. Zdarzyło się to przed laty podczas okupacji, kiedy Niemcy wylapali Żydów. W tym czasie Jasek ożenił się i ogarnęła go pasja gospodarska. Potrzebne mu były pieniądze na pokrycie dachu blachą. Trafila się okazja. Zgłosili się Springowie z błaganiem o ratunek i schronienie. Dawali nieco pieniędzy gotówką i trochę srebra stołowego. Było ich czworo, rodzice i dwoje dzieci. Obiecywali, że dostanie jeszcze więcej pieniędzy nieco później, choć była to nieprawda, gdyż oddali mu wszystko. Ukrywał

ich trupy kazali Niemcy zakopać właśnie Jaskowi. Po wyzwoleniu Jasek zniknął. Minęło kilkanaście lat, ludzie zapomnieli o Jasku i jego zbrodni, jego dzieci dorastały, a żona się starzała. Pewnego dnia Jasek wrócił i jakby nigdy nie zaczął budować domu. Nagle został aresztowany i stał ten list.

Następny list pochodził z Jamrozów. Wiadomo Jamroz chory na raka i żona prosi o zdrowie dla niego. Dalej zbiorowa prośba o wykrycie tajemniczego złodzieja, nieustannie kradnącego kury u kilku gospodarzy na przedmieściu. Jest następna prośba o nawrócenie grzesznika, bezbożnego, odmienca Józefa Kaczala, co to, jak się upije, krzyczy, że nie ma Boga, tylko duch, czyli para wodna. Potem list z błaganem o powrót męża, który uciekł z kochanką i pozostawił żonę i troje dzieci bez opieki. Jest i wiersz do świętego Antoniego, coś w rodzaju ody na jego cześć, kończący się słowami: „W

naszej Ojczyźnie niech panuje zgoda, swą bliźnie lud ręce sobie poda”. Podpisała Marysia Graj, uczennica klasy czwartej. Jakiś chłopak napisał gorącą prośbę o to, aby ojciec przestał pić. — „Ja jestem zawsze bardzo głodny i chciałbym się raz najęść”. Jest karteczka od Antka Macioka z prośbą o większą wygraną na loterii, aby mógł sobie kupić motocykl. — „Wszyscy mają motocykle, tylko ja jeden nie”.

Sprawy ważne i blade przeplatają się tu w misterny kłęb ludzkich cierpień. Oto na przykład kartka z prośbą o wygranie procesu. Wiadomo: Apolonia Bała znana pieniaczka procesuje się z dwoma braćmi o kawał pola. Matka Apolonii zmarła swego czasu w dziwnych okolicznościach i plotka szepotała, iż otruli ją córka truciźną na myszy, a przedtem zamorzyła głodem. Był zapis w którym córka otrzymała dom i sad, zaś synowie po pół hektara piaszczystego pola. I oto już piąty rok od śmierci matki ciągnie się ten nieszczęsny proces. Następny list, napisany na różowym papierze, to prośba o szczęśliwy poród. Ileż to spraw kłębi się w uliczkach małego miasteczka.

Czołem przy ziemi klęczy w tłumie siostra Anastazja. Jest otyła i podobna do góry mięsa. Od czasu do czasu nie unosząc czoła zerka na obie strony, ukazując nalaną twarz, małe, chytne oczka. Siostra Anastazja czeka na odczytanie jej listu do świętego. Prosi w nim o pogodę i urodzaj na swojej plantacji tytoniu. Siostra Anastazja, bo tak ją zwa, udaje zakonnicę. Nosi na sobie coś w rodzaju habitu, uprawia tytoń na dwóch hektarach ziemi. Przynosi jej to duży dochód, zwłaszcza, że całą pracę wykonują za nią sieroty. Odwiedza ona rozmaite odpusty w całym województwie i z nich sprowadza jedną, lub dwie sieroty zaprzęgając je do pracy. Trzeba plewić, podlewać, czasem przesadzać i zrywać liście, potem suszyć w piecu i w ogóle ciężko pracować. Gdy już te najważniejsze roboty zostaną ukończone, siostra Anastazja pozbywa się sierot i sprowadza inne wyzyskując je w okrutny sposób. Cóż, tego roku padały deszcze, jedna sierota uciekła, co fatalnie wpłynęło na rozwój roślin tytoniowych. Dlatego niezbędna jest pomoc świętego. Czytanie listów dobiega końca. Jeszcze kilka listów z podziękowaniami za przywrócenie zdrowia, pomyślne załatwienie sprawy i odnalezienie zguby. I oto list ostatni, anonim. Nieznana dziewczyna prosi o spowodowanie miłości chłopca, do niej, gdyż on na nią nie zwraca uwagi. — „To proszę Cię święty Antoni zrób tak, aby Frania zakochał się we mnie. Najlepiej aby to się stało na zabawie tanecznej w zetemencie. Rodzice nie pozwalają tam iść. Pomóż święty Antoni!”.

JERZY WALEŃCZYK

## SIERPIEŃ 1962

Chciałbym pić wino Martini  
With soda, w smaku znakomite  
W Wenecji albo na Sycylii,  
Kosztownych marzeń książkę czytam  
Odzyskać plażę syntetyczną,  
Żywić się gór dezyderatem.  
Pomówmy szczerze: Europa  
Choć piękna zimą, latem  
W syntezie słońca, w apogeum.  
Piękno w naturze. Piękno w funkcji.  
Piękno w precyzji. Piękno w celu.  
Piękno w pewności. Piękno w sile.  
Piękno w zdrowiu. Choroba  
Chaos zamieszkała,  
Przypadek w masce kongenitalnej.  
Po cóż miałbym ją żywić  
Mięsem rozlicznych alternatyw.  
Jeżeli to, co dzisiaj warczy,  
Jutro zatrzyma opór kraty.

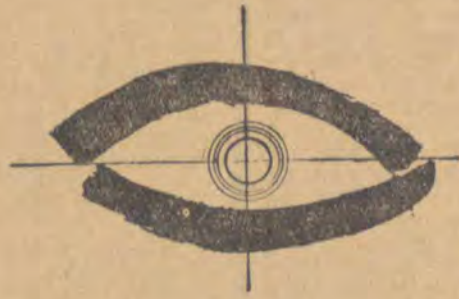
Chciałbym prowadzić Citroena:  
Marzenie jutra luksusowe.  
O koneserze mój, wiem, powiesz.  
Konstrukcja, cena.  
Czasu lata, czasu dojrzałości.  
To hydropneumatycznych sprężyn  
Radość lekka, elastyczna.  
To działa systemem newralgiczny.

Przestrzeń i czas odczuwać!  
To tylko formy odczuwania.  
I książki moje widzieć w serii  
U Gallimarda pożądane,  
Drażniące innych, ochłodzonych  
Maską fałszu, rezygnacją.

Co zrobi ten, który czeka  
Na siebie, muzykalny Słowianin.  
Czy zrezygnuje z hipotez?  
Żyć muszę i kochać muszę  
Bo miłość i życie się koczą,  
Absurdalne, jeżeli  
Samotne,  
Kwitające bazami nadziei,  
Pokryte bazami strachu.  
With soda? Chilled? Znakomite  
Vino vermouth — Martini,  
Z dziewczyną pod słońcem Riwieri.  
Lato wyborne w smaku.

Łódź, Bałuty. 31. VII. 1962.

## FUNKCJA



Gdybyś tak giętko wpisał się w chmury,  
Powtarzał prawa etyk powoli.  
Kreśliłbyś linie na płótnie, na drzewie  
Wehódząc w cień płótna, stukot drzewa,  
Złakniony barw. Gdybyś  
Stanął między głosem i echem,

Gdybyś tak giętko wpisał się w chmury,  
I w plażę, w miech, i w winobranie,  
Gdybyś tak żył. Nieludzkie formy  
Wierne sobie, rozsypane. Ruch  
Chwali i poniża. Gdybyś  
Poszukał domu i Litwy doświadczeń.

Jeszcze nie czas. Warta zamyślona  
Cieniem praczki i mroczna.  
Wir wykarmiony płaskimi kamykami.  
Śmiech nagich chłopców marszczy  
Powierzchnię. Pieczęć lokuje kopertę.  
Jeszcze nie czas. Płomień acetylenu  
Przebija płatki irysa. Gdybyś  
Pod spokojną konstrukcją skrzydeł akacji  
Świadczył o niewidzialnym,

Gdybyś tak giętko wpisał się w chmury  
I w konkret, w mądrość i w opętanie,  
W zapach i w sens. Jeszcze nie czas.  
Śmiech nagich chłopców marszczy powierzchnię.

## GOETHE NIE MIAŁ RACJI

pierwsze, rozrywka jako taka czyli dla wszystkich, powtóre przyjemność dla opytanych przez diabła teatru. Bo tacy, nie mając lepszego zajęcia, przeczytali kiedyś, że Goldoni rozwinął i przeobraził włoską narodową komedię, gre ludowych typów określonych między innymi przez charakterystyczne maski lub maskowa charakterystyka. Taka maska zachowała swój sposób reagowania we wszystkich sztukach, granych nie według ustalonego tekstu, lecz mniej lub więcej improwizowanych w ramach ustalonych scen. Goldoni przeobraził więc ludową komedię masel, czyli schematów, w komedię ludzkich charakterów. Przy tym uczynił on tradycję zadecyzowaną w swoich sztukach (a napisanej w ciągu długiego i pracowitego żywota kilkaset)

maski z narodowej komedii — Pantalona, Brighella, Arie kina itp. Odnajdujemy ich u Goldoniego niekiedy pod innymi imionami wśród grona jego nietragedycznych postaci. Ma to miejsce również w „Uczciwej dziewczynie” prezentowanej przez Teatr Nowy w reżyserii Maryny Broniewskiej.

Po trudach i znojach festiwalu filmowego lodzianie zasłużyli sobie na sówite wy nagrodzenie. Jest nim właśnie „Uczciwa dziewczyna” z mistrzem Lapa, wybornym Pantalonom, postacią, która tak sprzyja skłonnościom Stanisława Lapińskiego do gagów. Nie mniej niż sam mistrz przyczynia się Bogdan Baer do stworzenia „naj przyjemniejszej rozrywki z nieczeg”. Tutaj dodalbyśmy — rzecze wszystkim Baer, ale Urszula Modrzyńska jest prze

cięż zarówno znakomitą „Uczciwą dziewczyną” jak i per sonifikacją wdzięku scenicznego. I to szczególnie w Goldonim. Rzecz jasna, również sprawozdawca może być wpa trzony w jedną kobietę. Ale to nie znaczy weale, że nie docenia świetnej Katarzyny (Bohdana Majda) lub, że nie widział z jaką łatwością Lapidzik Benoit potrafi zagrać gondoliera w Goldonim a Konrad Laszewski morkiza, co bywało weale nie dziwi. Cieszy ich Lelio (Zbigniew Józefowicz) i Arlekina (Zygmunta Malawski), jedna z tradycyjnych i wielce udanych masek tej sztuki.

Reasumując (z rekta na sercu): zabawny spektakl. Kto się lubi śmiać i cieszyć dobrym aktorem, niech idzie i zobaczy. Dodałbym — i kto sobie trochę poprosi tu i o. Bo znajdzie się i taka oka-

zja, albowiem ktoś może być zdania, że główną rolę w tej komedii powinni grać gondolierzy, jako lud Wenecji. Został on nieco skrzywdzony, ten lud Wenecji, bo w zbiorach scenach tylko lekko ale za to źle naszkicowany. Rozbudowując te sceny można by zrobić widowisko, które zaćmiłoby poprzednie śpie wogry Teatru Nowego, a inscenizator zdobyłby sławę ja ko ten, który potrafił nam pokazać — syntetycznego i, przepraszam za wyrażenie, no woczesnego, Goldoniego.

Carlo Goldoni „Uczciwa dziewczyna”, przykład Zofia Jachimecka, reżyseria Maryna Broniewska, scenografia Zenobiusz Strzelecki, opracowanie muzyczne Stefan Marczyk, teksty piosenek Jerzy Polonski.

# Co w REGIONIE PISZCZY?

Minęło już parę dni od chwili zakończenia obrad Międzywojewódzkiego Zjazdu przedstawicieli regionalnych towarzystw kulturalnych, który odbył się niedawno w Łodzi. Wydaje się, że warto w jakiś sposób ustosunkować się do propozycji i sformułowań, które padły w czasie tej dwudniowej debaty.

Istnieją, jak wiadomo, dziesiątki najprzeróżniejszych towarzystw typu regionalnego od — powiedzmy — łowickiego Towarzystwa Przyjaciół Muzeum do krakowskiego Towarzystwa Kultury i Tradycji Kosynierów. Wcale nieprzypadkowo podałem te właśnie przykłady. Świadczy o tym, że różnie pojęty regionalizm może być jednocześnie pożyteczny jak i śmieszny i mało twórczy. Łowiccy regionalni liści skupieni wokół Muzeum, którego zasługi w zachowaniu i propagowaniu tradycji są znane — spełniają na pewno pozytywną rolę, czego niestety nie da się powiedzieć o krakowskich „Kosynierach”.

Trzeba więc od razu zastrzec, że działalność regionalistów nie jest działalnością zwartą i jednolitą w sensie realizowanych koncepcji. Są grupy działaczy regionalnych, którzy wychodząc od tradycji kulturowych regionu prowadzą rzeczywiste szeroko działalność kulturalno-oświatową. Są grupy, a raczej grupki, zasklepiające się wyłącznie w jałowym kulturowym przesłaniu. A to chyba za mało.

Obecny na naradzie dyrektor departamentu pracy kulturalno-oświatowej Ministerstwa Kultury i Sztuki Czesław Kałużny stwierdził w jednej ze swych wypowiedzi, że „muzea powiatowe obok zbierania i chronienia dóbr kultury narodowej powinny stać się ośrodkami upowszechniania wiedzy o sztuce, historii, powinny organizować odczyty, filmy, koncerty dla ludności wsi”.

Czyli krótko mówiąc, chodzi o to, aby cały ruch regionalistów realizował tę współczesną, poszerzoną koncepcję pracy w terenie. Chodzi zatem o to, aby mniej w ruchu regionalnym było „kosynierów” więcej natomiast rzetelnej, szerokiej działalności. Działalności, dla której punktem wyjścia winna być stara tradycja terenu. Ale wyłącznie punktem wyjścia. A to niestety nie wszędzie chyba zostało należycie zrozumiane.

Istnieje więc potrzeba nowego spojrzenia na działalność regionalnych stowarzyszeń kulturalnych, na rolę jaką winny te często bardzo żywotne organizacje pełnić we współczesnym życiu ośrodków prowincjonalnych. W oparciu o tradycję regionu, w oparciu o zdrowy lokalny patriotyzm towarzystwa regionalne mogą rozwinąć działalność o niespotykaną skalę.

Nie wiem, czy ruch regionalny znalazł się ostatnio w ślepej uliczce. Dość żywe były ostatnio takie właśnie opinie. Ale wydaje się, że jeśli działacze tego ruchu zrozumieją, że folklor to nie martwa forma, która trzeba zamknąć w oszklonej gablocie, ale ciągle przeobrażająca się dziedzina życia społecznego — wszelkie uwagi na temat „ślepych uliczek folkloru” staną się nieaktualne.



Przeciwnicy nazywali go gorszycelem młodzieży i przestępcą. Wypominali mu grzechy przeszłości — przyznajmy, nie bez powodu i dowodów — i pisali broszury polemiczne. Ale dla milionów młodych chłopców Karol May już w ostatnich latach XIX wieku był symbolem siły i prawości, wcieleniem wszystkich cech męskich. Karol May czyli



Karol May jako Kara Ben Nems.

Old Shatterhand, pędzący na swym koniu przez amerykańskie prerie czyli Kara Ben Nems, przemierzający pustynie Wschodu. Autor ułóżmy sobie bowiem wreszcie ze swym bohaterem. Potrzebował na to prawie 60 tysięcy stron. Te 60 tysięcy stron stało się pochodzą jakże nieskomplikowaną jego życia na odległych krańcach świata, na terytoriach Indian i na pustyniach Orientu. Zauważmy przecież, że nawet tam, w tych kraiach, jakże dzikich i jakże przerażających pocztowych mieszczan niemieckich, bohater Maya pozostaje wierny swej ojczyźnie i swym prostym zasadom moralnym: jest pobożny i uczciwy, a za całe uzbrojenie starczy mu katechizm i sztucer. Czyż można się więc dziwić, że w 50 lat po śmierci, tuż przed terminem, w którym wygasła prawa

autorskie spadkobierców, May awansował do godności pisarza ludowego? Że jego znaczenie i wpływ na dwa — a może nawet trzy pokolenia Niemców porównywane są z wpływem i znaczeniem Goethego i Tomasa Manna? Zmieniał się władcy, na terytorium Niemiec upadły i powstały państwa. Przemieniała się Republika Weimarska i Rzesza Hitlera. Ale Karol May wciąż jeszcze wyposaża 15-latków w marzenia: sen o nieograniczonej wolności i łatwej sławie wciąż jeszcze

to spadały razy, zadawane przez ojca-pijaka. Wykształcenie otrzymał mały Karol, niezbyt kosztowne ale i niezbyt dokładne: ponieważ śpiewał w chórze kościelnym — i to nawet jako solista — przy okazji nauczył się grać na skrzypcach i na organach. Przeglądając książki, które znalazł w gospodzie, gdzie pracował jako chłopiec do posług, natrafił na tytuły, które go zainteresowały: obok kilku traktatów filozoficznych — ich autorzy są nam niestety nieznani — przeczytał wów-

uprzednio do owego buchaltera, został mu podrzucony. Ale sąd nie dał, niestety, wiary owym tłumaczeniom: przyszły wychowawca młodzieńcych dusz znalazł się po raz pierwszy — ale nie ostatni — w więzieniu. Wyrok nie był zresztą zbyt surowy: tylko sześć tygodni.

Te sześć tygodni zaważyło jednak, jak się zdaje, na przyszłych losach Maya. Po wyjściu z więzienia postanowił bowiem — jak sam wyznał później w swej autobiografii — „zemścić się na właścicielu tego zegarka,



A oto May „w cywilu”.

plantacji wanilii, tytoniu i konopi. Plantacje owe miały się znajdować na Martynice. Policjanci i sędziowie okazali się jednak ludźmi pobawionymi wyobraźni. Król tytoniu i wanilii znowu miał spędzić cztery lata w więzieniu.

Ale po owych czterech latach — a były to lata wyjątkowej pracy — sytuacja zmieniła się radykalnie, bo gdy w roku 1874 May wyszedł z więzienia w Waldheim, oczekiwali go już pierwsze honoraria autorskie. I nie tylko one. Drezdeński wydawca Heinrich Munchmeyer zaproponował młodemu pisarzowi stanowisko redaktora czasopisma „Beobachter an der Elbe”. May nie wahnął się długo. Miał wówczas 33 lata i wiedział już czego chce. Objął posadę i wkrótce Munchmeyer wydawał nie tylko „Beobachtera”, ale i trzy nowe czasopisma, których założycielem był May. I wtedy właśnie — już i dla czytelników — narodził się Winnetou. Ten wódz Indian nazywał się wówczas jeszcze inaczej — mianowicie Innuwoh — ale wyposażony był już we wszystkie te cechy, których nosicielem miał być i Winnetou.

Podczas gdy przygody Innuwoha publikowało czasopismo „Deutschen Familienblatt”, w innym piśmie Munchmeyera, „Feierstunden am haushauslichen Herde” zaczęły ukazywać się opowieści ze Wschodu zatytułowane „Przez pustynie i haremy”. Ich bohaterem i narratorem był niemiecki lekarz, który w czasie podróży po Egipcie zakochuje się w niewolnicy, imieniem Leilet. Do końca życia miał już pozostać May wierny tej tematyce. I choć dał się wówczas poznać i jako autor powieści kryminalnych i jako popularyzator wiedzy geograficznej, prerie Ameryki Północnej i pustynie Wschodu na zawsze pozostały jego ulubionymi terytoriami.

Tempo, w jakim mógł pracować, było na rękę Munchmeyerowi. Twórczość młodego pisarza okazała się złotą żyłą. Nakłady rosły, rosło i zapotrzebowanie. Co rok wypuszczał teraz wydawca nową powieść Maya. Rok 1882 był rokiem pierwszego wielkiego triumfu. Czytelnicy wyrwali sobie z rąk olbrzymią, bo 2612 stron liczącą powieść „Waldroschen”, napisaną, jak zapewniała karta tytułowa, przez niejakiego kapitana Ramona Diaz de la Escosura. Jej bohater, niezłomny, silny, uczciwy i odważny jak lew doktor Karl Sternau łączył w sobie co prawda wszystkie cechy postaci, które czytelnicy znali już z książek Vernego i Dumasa. Ale czymże były przygody kapitana Nemo wobec nieprawdopodobnych awantur, w jakie był zamieszany doktor Sternau!

Oprac. wg „Der Spiegel”

## GENTLEMAN ze SZTUCEREM

jest atrakcyjny.

Władanie duszami pietnas tołatków na pewno nie jest rzeczą prostą. Nic więc dziwnego, że proza Maya znajdowała tak wielu entuzjastów. Kościół domagał się miejsca dla jego książek w każdym katolickim domu. Jeden z największych wielbicieli Maya, niejaki Adolf Hitler, polecał awanturnicze opowieści pisarza jako lekturę swoim generałom. Ale nie tylko Hitler był entuzjastą Maya. W podziw dla jego książek spotykali się ludzie różnych poglądów. Czytali go i chwalili tak Albert Einstein jak Karol Liebknecht, tak Albert Schweitzer jak Herman Heisse. A nawet jego wielki kolega po piórze, Tomasz Mann.

Ale sława i miliony czytelników i pieniędzy, to wszystko przyszło dopiero później. Bo początek był raczej niewesoły: syn akuszerki i tkacza, urodzony w roku 1842 w małym miasteczku Hohenstein — Ernstthal nie miał łatwego dzieciństwa, ani pięknej młodości. W dzieciństwie groziła mu ślepotą, a na jego grzbiecie czes-

czas mrozącą krew w żyłach opowieść o bohater-skich czynach bandyty Rinaldo Rinaldini (jej autorem był szwagier Goethego, Christian August Vulpius) i wyściskająca łyż z oczu historia życia pewnej Emilii, która to Emilia, bliżej nam nieznana mniszka, została żywcem zamurowana.

„Wierzę głęboko — pisał później pisarz May, wspominając owe lektury młodego Karola — we wszystkim, co wówczas przeczytałem.” Wykształcenie nie skończyło się zresztą na o-wych lekturach. Matka i ojciec Karola zdecydowali, że przeznaczeniem syna jest los lepszy niż ten, jaki im przypadł w udziale. I w r. 1861 młody May, po ukończeniu seminarium nauczycielskiego, otrzymał swą pierwszą posadę w szkole fabrycznej. Nie cieszył się nią jednak zbyt długo. Jeszcze w tym samym roku 1861 pewien buchalter, z którym May dzielił pokój, oskarżył młodego nauczyciela o kradzież. May twierdził co prawda, że zegarek, który policja znalazła w jego kieszeni, a który należał

który zadenuncjował mnie, by pozbyć się współlokatora, zemścić na policji, na ludzkości, na wszystkich.” Zemsta nie była zresztą zbyt wymyślna. Ale z kolei żądza zemsty zapalała obywateli saksońskich miasteczek, pozbawieni przez Maya futer i innych części garderoby. I już w czerwcu 1865 roku przyszły pisarz ponownie znalazł się za kratkami. Tym razem miał tam przebywać aż cztery lata. Nie wyszło mu to zresztą na złość: awansował szybko na stanowisko kierownika więziennej biblioteki i jak sam wyznaje „czas odbywania kary stał się dla mnie czasem studiów”. Wówczas to właśnie, w celi więzienia w Zwickau, zaczął kształtować się pierwsze po myśli pisarskie; tam narodził się Winnetou. Ale nim postać „czerwono-skórego dżentelmena” skonstruowała się na kartach książki, nim zapoznaliśmy się z nim czytelnicy, upłynęło jeszcze kilka lat. Bo po opuszczeniu więzienia May powrócił znowu do swego „wyuczonego” zawodu. Co prawda, jak sam twierdził, odbył wówczas swą pierwszą zamorską podróż. „Dokąd wiodła i jak przebiegała ta podróż — pisał w autobiografii — do-wiedzieć się z drugiego tomu”. Ale dwu drugi tom autobiografii nie ukazał się nigdy, a tak biografowie pisarza jak i raporty policyjne stwierdzają zgodnie, że w owych latach May nie miał raczej czasu na to, by móc się poświęcić turystyce. Był już wówczas zawodowym złodziejem: kradł, wyłudzał i oszukiwał, portfele, portmone i zegarki lepiły mu się do rąk. Nie gardził zresztą i drobniejszymi zdobyczami: okularami, zabawkami dziecięcymi, cygarniczkami i chusteczkami do nosa. Policja miała z nim niemało kłopotu. Ponownie aresztowany, zdołał w czasie transportu do więzienia rozzerwać kajdanki i zbiec. Został ujęty dopiero po kilku miesiącach: nazywał się wówczas Albin Wadenbach, a przestępczościach go urzędników policji zapewniał, że jest właścicielem olbrzymich



## o rannej godzinie

Co ja przeżyłam na drugi dzień! Nie wyobraża pan sobie, jakiego strachu się najadłam. Właśnie, z powodu Marioli. Przed wyjazdem do pracy ciotka przykazała mi, abym Marioli nie budziła. Niech wypocznie, powiedziała. A z jaką miną wydawała to zlecenie. Boże kochany, okropne uczucie, kiedy ktoś do pana mówi w ten sposób, jakby pana nie widział. Całe szczęście, że zasnęliśmy i ciotka musiała się bardzo spieszyć, aby zdążyć do fabryki. Więc tylko upomniała mnie, abym pozwoliła się wyspać Marioli i poleciała do autobusu.

Miałam ogromną ochotę urządzić Marioli pobudkę, co mnie obchodziły zakazy ciotki, pan się chyba orientuje, że mogłam ją obudzić. Najwyżej usłyszałabym od niej kilka okrzyków w rodzaju „ty kretynko“, ale za

każdym razem, kiedy zbliżyłam się do tapczanu i spojrzałam na jej twarz, nie mogłam się zdobyć na nic innego, jak tylko na poprawienie poduszki albo kołdry. Święty Boże, jaka była wymierzowana, aż żal było na nią patrzeć. Do końca życia nie zapomnę tego obrazka. Mariola spała z pół otwartymi ustami, włosy miała rozrzucone na poduszce, strasznie schudła, kiedy tak na nią patrzyłam, nie dałabym jej więcej niż piętnaście lat. Dopiero przy świetle dziennym można było stwierdzić, jak bardzo się zmieniła. Czasami wydawało mi się, że mam przed sobą obcą dziewczynę, więc pan sobie wyobraża, jak wyglądała, kiedy ją jej nie poznawałam. Więc dałam jej spokój i tylko od czasu do czasu podchodziłam do niej i całowałam ją w twarz, nie potrafiłam się powstrzymać od tych pocałunków.

Mijała godzina dziesiąta i

jedenasta, a Mariola wciąż spała. Około dwunastej postanowiłam ją obudzić. Ależ miała twardego sen, pan nie uwierz, na nie zdążyłam się jeszcze wysiłki. Podnosiłam jej głowę, ruszałam, nic z tego, okropne uczucie, po raz pierwszy tego doświadczyłam, pan sobie przypomina, kiedy usypiałem pijanego Tatę, Tato natychmiast zapadał w kamienny sen, mogliśmy wszystko robić z Tatą, przerażało go z tapczanu na tapczan i Tato się nie obudził, ale z Mariolą było zupełnie coś innego, niesamowita historia. W końcu zaczęło mnie to niepokoić, chyba mnie pan rozumie. Do tego wszystkiego wydało mi się, że Mariola oddycha coraz wolniej i słabiej. Wzięłam ją za rękę i nie mogłam wyczuć pulsu. Więc strach mnie ogarnął i zadzwoniłam do Ireny. Na szczęście złapałam ją za pierwszym telefonem, była w dyżurce, „Irena — za wołałam — czy jest doktor

w szpitalu, poprosz go natychmiast“ — wie pan, pomyślałam sobie o tym doktorze, którego poznałam na weselu u Ireny. „Co się stało? — zapytała Irena. — Jesteś chora, czy może ciotka?“ „Nie, Irena — krzyczałam do słuchawki — Mariola zasłabła, nie wiem, co jest, śpi, nie mogę się jej dobrać, nie wyczuwam pulsu.“ „Czekaj! — zawołała Irena — Wyślij tam doktora.“

W niecałe pół godziny podjechała pod nasz dom taksówka i wysiadł z niej doktor, Irena spisała się. Pan sobie przypomina, ten gruby, który tak fajnie tańczył na weselu. Ogromnie się ucieszyłam. „Doktorze — mówiłam — prowadząc go do domu — nie mogę się

dobudzić Marioli.“ „Ach tak? — powiedział — zobaczmy.“ Weszliśmy do mieszkania, doktor zdjął płaszcz, odebrałam od niego płaszcz i teczkę, w ogóle skakałam koło niego jak fryga, powiedziałam mu, żeby się spieszył, a ten, pan nie uwierz, zamiast zająć się Mariolą, położył mi rękę na czole. „Nie wariuj, dziewczucho“ — powiedział. Istotnie, może w oczach doktora wyglądałam na wariatkę, ale jak mogłam inaczej się zachowywać? Po sekundach, które wydawały mi się godzinami, doktor podszedł do Marioli, wziął ją za rękę, popatrzył na swój zegarek, dotknął ją tu i tam. „No — powiedział — wszystko jest okey. Dziewczyna jest ogromnie wyczer-

pana i śpi. Niech sobie śpi.“ „Ależ doktorze — szarpałam go za rękaw — nie można się jej dobudzić!“ „Można — powiedział doktor — tylko po co? Niech śpi.“ Mówił tak, żeby mnie uspokoić, czy też naprawdę Marioli nie groziło, nie zdawałam sobie z tego sprawy. Ale mimo tych zapewnień wyjął strzykawkę, miał już te wszystkie rzeczy przygotowane, napełnił ją jakimś płynem i wstrzyknął Marioli w rękę. Zrobił to bardzo zręcznie, przynajmniej myślałam, że Bóg wie co się dzieje. „Doktorze! — zawołałam. — Więc jednak jest tu coś nie w porządku?“

Dalszy ciąg na str. 10

## DIRTY

A lady called on a friend. He was not at home. She wrote upon the piano dusty: DIRTY.

They met the next day. The lady said:

— I called on you yesterday.

He answered:

— Yes, I saw your name on the piano.

## A MEETING

— Hallo, George! Let me shake your crab.

— Let me do the same.

— What good wind brings you here?

— I'm here on business.

— What a small place the world is, after all.

— Indeed it is.

— Well, well, George! It's good to see you again after all these years.

— Yes, and I am glad to meet you too.

— You have changed a great deal.

— In what respect?

— You are thinner.

— And older, too.

— How long do you intend to stay here?

— For a day or two, I suppose.

— Well, that's fine. What about staying at my house.

— All right. Thanks.

— Come along then.

## LANGSAM FAHREN!



Ein Fuhrmann fuhr mit seinem Pferd und Wagen in die Stadt. Der Weg war sehr schlecht. Es lagen dort viele Steine, grosse Steine. Plötzlich sah der Fuhrmann einen Mann, der Till Eulenspiegel hiess. Der Fuhrmann fragte:

— Komme ich noch vor Abend in die Stadt?

Till Eulenspiegel antwortete:

— Wenn Sie langsam fahren, dann kommen Sie noch vor Abend in die Stadt.

Till Eulenspiegel ging weiter und der Fuhrmann dachte: „Dieser Mann ist wohl nicht klug“. Und er fuhr schnell weiter.

Gegen Abend traf Till Eulenspiegel den Fuhrmann auf der Strasse. Eulenspiegel fragte:

— Sie sind noch nicht in der Stadt?

— Ja, der Weg ist sehr schlecht. Es liegen hier viele Steine, grosse Steine. Ich habe aber schnell gefahren und das Rad ist gebrochen.

— Sehen Sie, Ich sagte es Ihnen. Sie müssen langsam fahren, wenn Sie vor Abend in der Stadt sein wollen.

## SOMETIME LATER

John and Mary are walking in a park. John is reading a book on ENGAGEMENT AND MARRIAGE; Mary is listening to:

— At the age of 21, persons of both sexes in England come of age. Boys and girls are permitted to become ENGAGED.

A man who is engaged, but not yet married to a lady, when speaking of her, will say: MY FIANCE. The young lady, on similar occasion, will say the same.

Generally, English girls receive no marriage portion on marrying, as a man is obliged to maintain his wife and children himself.

On the day of the wedding, the bridegroom and bride with the best-man and bride's-maids, family and friends, go to church for the wedding service. There they are joined in matrimony by the clergyman; he slips a wedding-ring on the bride's ring-finger. This ring she wears for the rest of her life.

When the ceremony is over, all go back to the house, where the lady has been living, to the wedding-breakfast. After the guests have drunk the bride's and bridegroom's healths, the happy newly-married couple take leave and depart on their honeymoon or to their new home...

Mary, my darling, what do you think about this book?

— John, I'm very happy, but...

— I hope you are not displeased with me.

— No, I am very happy, but...

— You have changed, Mary.

## DAS IST UNMÖGLICH

Robert Koch war ein berühmter Arzt. Er entdeckte die Tuberkelbazillen. Er war auch ein guter Mensch. Arme Menschen konnten immer bei ihm Hilfe suchen. Er half immer und behandelte die armen Kranken sehr gut.

Einmal wurde der König von Preussen sehr krank. Er rief den berühmten Arzt zu sich an den Hof. Robert Koch kam. Der König sagte:

Ich treue mich, dass Sie gekommen sind. Ich bin sehr krank. Sie müssen mir helfen und ich hoffe, dass Sie mich besser behandeln werden als Ihre armen Kranken in Ihrem Krankenhaus.

Robert Koch antwortete ruhig:

— Verzeihen Sie, Majestät, aber das ist unmöglich.

— Warum? — fragte der König.

— Es ist deswegen unmöglich, weil ich meine armen Kranken so wie Könige behandle.



— Have I?  
— Yes, a great deal. But now, say what do you think about this book?  
— I won't tell you. At least, not now.  
— When?  
— Sometime later.



# THE FIRST ONE

— Landlord, this towel is too dirty. I can't wipe on it.  
— Well, sixty people have wiped on that towel this morning, and you're the first one to complain.

## IN DER BÄCKEREI

Ein armer Mann kam in eine Bäckerei:  
— Ein Laib Brot, bitte.  
Der Bäcker legte das Brot auf den Ladentisch und sagte:  
— Das Brot kostet fünfzig Pfennig.  
Der arme Mann antwortete:  
— Das ist sehr teuer. Ich sehe auch, dass das Brot nicht so schwer ist, wie es sein sollte.  
Der Bäcker lachte etwas ironisch, dann sagte er:  
— Das schadet nichts, dass das Brot nicht so schwer ist, wie es sein sollte. Es wird Ihnen leichter sein dieses Brot nach Hause zu tragen.  
— So? — sagte der arme Mann und legte auf den Ladentisch nicht fünfzig Pfennig, sondern nur vierzig.  
Der Bäcker rief:  
— Verzeihen Sie, mein Herr, aber das stimmt nicht! Das Brot kostet fünfzig Pfennig und nicht vierzig!  
Der arme Mann antwortete:  
— Das schadet nichts, dass es nur vierzig Pfennig sind und nicht fünfzig. Es wird Ihnen leichter sein es zu zahlen.

## WHAT WAS IT LIKE THERE

— Hallo, John! Where have you been all this time?  
— I? I was on vacation down south.  
— Really. Enjoyed the time?  
— Half and half.  
— What do you mean by half and half?  
— The weather, you know.  
— What was it like there?  
— Changeable. During the first ten days we had all kinds of weather: from clear, bright days to rain and cold.  
— And later?  
— And later it improved.  
— Bathed in the sea? Where were you, by the way?  
— No, I was in the country this year.  
— Oh, you get less fun in the country than at the seaside, don't you?  
— Well, yes, but on the other hand you have the river, the woods, the...  
— Went about hunting?  
— Not much, but on the whole it was all right.  
— Well, John, see you by and by.

## EIN HERING

Ein Student sass am Ufer eines Flusses. Er hielt in der Hand eine Angel.  
Neben dem Studenten saßen zwei Angler. Der erste Angler hatte grösseres Glück als der zweite Angler. Der erste Angler fing schon einige Fische, aber der zweite noch keinen. Der Student aber zog jede fünf Minuten einen Fisch aus dem Wasser.  
Der zweite Angler wurde sehr böse und lief zur Polizei. Sofort kam ein Polizist und sagte:  
— Bitte, mein Herr, wollen Sie sich legitimieren?  
Der Student antwortete:  
— Aber natürlich. Bitte sehr. Hier ist meine Legitimation. Ich bin Student.  
Der Polizist sagte:  
— Das ist sehr schön, dass Sie Student sind, aber Sie dürfen nicht fischen. Sie haben keinen Angelschein.  
— Ja, das stimmt. Ich habe keinen Angelschein, deswegen fische ich nicht.  
— Was? — sagte der Polizist. — Sie fischen nicht? Und was machen Sie? Sie halten doch die Angel im Wasser.  
— Ja, das stimmt auch. Ich halte die Angel im Wasser, aber ich fische nicht.  
— Also, was machen Sie? — fragte wieder der Polizist.  
Der Student antwortete ruhig:  
— Ich wässere meinen Hering zum Mittagessen.

## Dalszy ciąg ze str. 9

„Ależ, dziękuję, uspokój się, bo tobie dam zastrzyk!“ — zdenerwował się doktor. „Wieg co jest Mariola?“ — zapytałam. „Przecież powiedziałam, jest wyčerpana, bardzo wyčerpana“. „A kiedy się przebudzi?“ „Proszę zobaczyć, już ładniej wygląda. Wypsi się i nagadacie się do woli.“ Spojrzałam na Mariolę. Błotnie jej twarz nabrala lekich rumieńców, oddychała spokojniej, a może mi się tylko tak wydawało, jednak nie była ta twarz Marioli z tamtych dni, kiedyśmy obydwie tak wesoło rozrabiały.  
Poprosiłam doktora, żeby usiadł, należała mu się jakaś wdzięczność, zapytałam go, czy napije się kawy, od powiedział, że chętnie, zapytałam jeszcze czy lubi neskę, odparł, że przepada za neską, doktor był takim gościem, który na wszystko się zgadzał i wszystko lubił, no ale wypadło się zapytać. Wieg nastawiłam wodę, doktor zapalił papierosa, poczęstował mnie także. Strasznie fajny gość, byłabym nie wiem co mu zrobiła, taka byłą wdzięczna, że przyjechał do Marioli. Mówiłam już panu, że na złość nie ma u mnie lekarstwa, gdy mnie kto skrzywdzi, zapalam się natychmiast gniewem, ale i na wdzięczność także, umiem odplacać za serce, gotowa jestem wtedy na wszystko. „Co za szczęście — powiedziałam — że doktor był akurat w szpitalu. „Dobrze, dobrze — odpowiedział. — Nie ja jeden jestem w Łodzi.“ „Ale doktor przyjechał!“ — rzekłam. „Dlaczego miałbym nie przyjechać?“ — zapytał. „Niech skonom — powiedziałam —

ale z doktora to porządny gość.“ „Nie jestem tego pewny“ — odparł. Nie wiem, proszę pana, co to jest, nieraz tak bywa, że rozmawiam z jakimś facetem, zadaję pytania, jakby tu powiedzieć, prosto od serca, ja zresztą zawsze mówię to, co myślę, a facet odpowiada niby tak samo jak ja, a jednocześnie odnośnie wrażenie, że nie mówi wszystkiego i ważniejszego jest to, czego nie mówi. No więc doktor gadał ze mną w taki dwuznaczny sposób, początkowo nie połamalam się, w czym rzecz, ale wkrótce dostrzegłam, że gość bawi się ze mną. Speczyło mnie to, więc kiedy doktor zaczął mi udowadniać, że nie jest niczym wobec takich istot jak ja, rany, jak on się wygłupiał, to już było jasne jak słońce, zaważalam: „Ech doktorze, gadka z panem na poziomie!“ Wieg co doktor zrobił, wstał z krzesła i pocałował mnie w czoło, słowo daje, i ten pocałunek był taki jak jego gadanina, niech pan nie sądzi, że na przykład Tosiek albo nawet Lodek pocałowałby mnie w ten sposób.  
Zadzwonił telefon, podniosłam słuchawkę, mówiła Irena, była bardzo niespokojna. „Co z Mariolą i co mówi doktor?“ — zapytała. Odpowiedziałam, że wszystko w porządku, ale Irena chciała jeszcze rozmawiać z doktorem, więc poprosiłam go. Doktor powtórzył jej mniej więcej to samo, co ja powiedziałam, w końcu uspokoił Irenę, już nie gadał o Marioli, dłuższy czas trzymał słuchawkę przy uchu, widocznie tam z drugiej strony Irena musiała dobrze ptylować. Wreszcie skończyli rozmowę, doktor usiadł przy stole i zaczął popijać kawę. „Czegóż to ja się dowiaduję — powiedział — to pani panno Magdo, wybiera się

w lipcu nad morze?“ Mówię panu, zdębiałam, kiedy usłyszałam tę wiadomość. „Nie, doktorze, kto to panu powiedziało?“ „Przed chwilą dowiedziałem się od Ireny“. „Ależ skąd Irena zna moje plany?“ — zawołałam. „Mówił jej ktoś, z kim pani się wybiera“ — powiedział doktor. Nie wiem, proszę pana, czy doktor kpił ze mnie, czy też wierzył w to co mówił, zbyt byłam wzburzona, aby obserwować doktora. „Z kimże to mam jechać?“ — zapytałam. „Pan doktor Tosiek jest tym szczęśliwcem — usłyszałam w odpowiedzi — Pan Tosiek kupił sobie w ostatnich dniach wóz i razem z Kazkiem zaplanowali tę podróż. Podobno jedzie z nimi jakaś piękność, no i pani, to jest całkiem pewna wiadomość, powiedziała Irena!“ Rany, jak byłam zła, teraz dopiero domyślałam się, do czego zmierzał ten kretyn Tosiek, kiedy przysłał mi różę, no i dlaczego tak usilnie chciał mnie przeproszać, i namawiał Irenę, aby nas pogodziła. „I cóż, panno Magdo, pojedzie pani? Proponuję bardzo, bardzo“ — zapytał doktor. Nie wierzę, aby ocze kiwał ode mnie jakiegokolwiek odpowiedzi, byłby cię kim frajerem, gdyby nie widział, co się ze mną działo. Byłam po prostu wściekła i na doktora byłam zła, że się mnie o to pytał. „Jak mi się spodoba, to pojedę“ — powiedziałam. „Okey, o to mi właśnie chodziło“ — rzekł doktor. „Nie! — zawołałam stojąc nad doktorem i trzesąc się ze złości. — Na prawdę pojedę!“  
Doktor w końcu się poze gnał, a ja zapomniałam go zapytać o pracę, o której mówiła kiedyś Mariola, może by wyjaśnił tę sprawę, w ogóle wiele spraw wyleciało mi z głowy, nawet się

nie zapytałam, czy jesteśmy mu co winne za tę wizytę. Wiem, że nie by nie wziął, przyjaźnił się przecież z Ireną, w ogóle nie ma o czym mówić, ale wypadło zapytać, można mu było chociaż zwrócić za taksówkę. Dopiero po jego odejściu zdałam sobie sprawę z tego, że za chowałam się jak ostatnia idiotka, jak można było odstawiać taką wariatkę, co sobie przypomniałam który fragment rozmowy, to nie mogłam sobie znaleźć miejsca. A wprost dusiłam się na wspomnienie tego kretyna z bródką, jego bezczelność przechodziła wszelkie granice, nie wiem czy pan mnie rozumie, nie chodziło mi o sam pomysł wyjazdu nad morze, wiem na czym taka historia polega, wcale bym nie uciekała od tego, nie jestem święta, gdyby to był kto inny, ale Tosiek, pan wie. Wieg nie wiedziałam, co mam robić, gotować obiad, jak mi ciotka kazala, dzwonić do Ireny, czy też do Tośki i urządzić mu awanturę, już bym wiedziała, co mam mu powiedzieć, zapomniałam nawet o Marioli.

Spojrzałam przypadkowo na tapczan, i Boże święty, o mały mi serce nie wyskoczyło, tak się przeraziłam. Mariola leżała nieruchomo i oczy miała otwarte, te oczy własnie mnie przeraziły, myślałam, że stało się coś złego. Ale Mariola podniosła się i zawołała: „Magda! Ccś ty taka blada?“ Wieg skoczyłam do niej i zaczęłam ją ścisnąć i całować. „Ty kretynko! — wołałam. — Aleś mnie nastraszyła!“ „Ja? skądże? w jaki sposób?“ „Najpierw śpi jak zabita, chyba szesnaście godzin spała, a potem odstawia nieboszczyka, musiałam lekarza sprowadzić.“ „Coś ty, Magda! Zwariowałaś?“ — zawołała Mariola. „A jakże, zwariowałam, zadzwoniłam do Ireny, to ci wyjaśni“ — mówiłam. „Nie, Magda to prze chodzi pojacie. Naprawdę był tu lekarz?“ — zapytała. „Owszem, był, sprowadziłam go i dwieście złotych dałam za wizytę. Chciał trzysta, ale się wytargowałam. Czego się nie robi dla takich idiotek. W ogóle nie wiem, czy warto z toba zaczynać.“ I miałam lzy w o-

czach i byłam wściekła na nią, nie wiedziałam, co zrobić. Mariola wstała i chciała się ubierać, ale jej nie pozwoliłam. „Ciotka kazala ci leżeć — powiedziałam — więc leż.“ „W porządku — odparła Mariola. — Widzę, dziecinno, że robisz postępy. To bardzo ładnie.“ „Nie wygłupiaj się — powiedziałam. — Tym razem ciotka ma rację.“ „Nie, Magda, podziwiam cię coraz więcej.“ „Nie mogę tego powiedzieć o tobie“ — rzekłam. — Może byłabyś łaskawa powiedzieć wreszcie, gdzie byłaś i co robiłaś, dlaczego nie przychodziłaś do domu?“  
Myślałam, że Mariola zacznie się wylewnie i opowie dać o swoich podróżach do Ameryki, ale ona zapytała: „Pamiętasz tego Felusia, mi licjanta, który nas złapał u Taty? Wieg u niego byłam. Dawiłam się w siostrę miłosierdzia.“ „Nie Mariola, mówisz prawdę?“ „A jakże — odparła Mariola. — naprawdę byłam u Felusia.“ „Nie wierzę ci!“ — zawołałam.

D, c. n.



# KLOPS

Magazyn filmowy „Klaps” jest jedną z nielicznych jeszcze pozycji ogólnopolskich nadawanych przez Łódzki Ośrodek Telewizyjny. Tak się jakoś składa, że obok popularnej audycji muzyczno-rozrywkowej: „Muzyka łatwa, lekka i przyjemna”, prowadzonej przez Lucjana Kydryńskiego i poza Teatrem Popularnym — telewizyjny magazyn filmowy „Klaps”, redagowany przez Grzegorza Dubowskiego jest audycją w programie TV zawsze z niecierpliwością oczekiwaną i chyba ogladaną z równym zainteresowaniem. Warto więc trochę miejsca poświęcić tej pozycji telewizyjnego programu. Oglądając od dłuższego czasu kolejne „Klapy”, zaczyna się coraz częściej odnośnić wrażenie, że od strony programowej ostatnie numery tego magazynu są nie tylko mało ciekawe, ale wręcz schematyczne. Realizowane prawie bezbłędnie technicznie, niestety, zawierają zawsze te same pozycje.

Nadany w ubiegłym tygodniu „Klaps” szczególnie mocno zaakcentował takie wnioski. Bo oto, co w nim pokazano? — Kilka ujęć z filmów polskich, których premiery odbyły się na początku września (!) Dwa filmy „Mój stary” i „Aby kwitło życie” skwitowano nawet planszami fotograficznymi. — Trzeba przyznać, że to ogromny wy-

silek realizatorów! Nie poku- szono się o próbę jakiegokol- wiek oceny tych filmów pod względem artystycznym, a wiele osób już je przecież wcześniej obejrzało w kinach. Gdzie jednak, ale w tego rodzaju audycji telewizyjnej należy się chyba telewizjom ocena krytyczna przedstaw- ianych filmów. Nie można robić tylko samej — i kiepskiej — reklamy, którą zresztą prowadzi oddzielnie Zarząd Kin i CWF, robiąc to czasami(?) w stylu godnym am- rykańskich reklamarzy. Sta- nowczo nie wysłała rola pro- wadzającemu audycję, skądinąd sympatycznemu, Tadeuszowi Janeczkiemu. Chyba red. Du- bowski sam jest w stanie dać sobie radę i pod tym wzglę- dem.

Przykrą pomyłką są rów- nież niektóre wywiady pro- wadzone w „Klapsie”. Przy- krą przede wszystkim dla o- sób udzielających wywiadów i widzów. Można sobie z powodzeniem było darować bardzo konwencjonalny, ste- reotypowy i nieciekawy wy- wiał z kierowniczka kina stu- dyjnego „Gdynia”. Nasu- wa się też pytanie, a skąd to znalazła się w studiu Łódz- kiej Telewizji p. Grażyna Stanisławska (Danusia z „Krzyżaków”) wraz z Miecz- sławem Kalenikiem (Zbyszko) nagrany na taśmie magneto- fonową, która to taśma miała być niespodzianką(!) dla te-

lewizjów. To już jest niestę- ty, chwyt w stosunku do te- lewidzów, naprawdę poniżej pasa. Czyżby nie stać było redakcji „Klapsa” na zaprosze- nie kilku łódzkich filmo- wych aktorów, którzy na pew- no nie będą się wyreczali ma- gnetofonem, a mogą ciekawie pytać, opowiedzieć wiele in- teresujących szczegółów ze swej pracy? Jest w Łodzi Horowian- ka i Modrzyńska, Niemczyk i Voi i wielu innych mających w swym dorobku większą ilość ról filmowych.

Dość ciekawie zaczął się

skrót AICS, padło enigma- tyczne pytanie: ile filmów zgłoszono na Festiwal Kongre- sowy? a nie postawiono bar- dziej rzeczowego, na przy- kład: które filmy konkretnie zgłosiła kinematografia pol- ska lub inne kinematografie. Szkoda, że nie zaprezentowa- no choćby dłuższego, cieka- wego fragmentu polskiego lub zagranicznego filmu zgło- szonego na wspomniany kon- gres. Zamierzano zadowolnić — czy też wykpić — telewi- dzów jedynie przypadkowo zmontowanymi fragmentami

ny z filmu Haliny Bieleńskiej „Godzina pasowej róży” w wykonaniu uroczej i rezolut- nej Elżbiety Czyżewskiej o- raz sympatycznego Nasierow- skiego. Interesującą o swej pracy mówił scenograf Ana- toł Radzinowicz, podając tak- że szczegóły dotyczące reali- zacji w Polsce przez reż. Je- an Paul Le Chanais filmu przygodowego „Mandrin”. Ale to tylko tyle i mocno za ma- ło. Fragmenty dowieńczego fi- lmu wytwórni „Semafor” — „Piegowaty dzień”, niestety, nie uratowały „Klapsa”. Re-

klam powinny iść w kierunku bardziej problemowego ustawiania poszczególnych punktów programu „Klapsa”. Warto może pomyśleć o wprowadzeniu na przykład „telewizyjnej trybuny filmo- wej”, w której mogliby za- bierać głos twórcy filmowi, krytycy, a nawet widzowie. Tak więc „Klaps” choć po- zornie mało znany przetrwał przy realizacji każdego filmu, jest jednak niedorzeczny, aby zapisywać na nim to, co war- te jest naprawdę zapisa- nia. Chyba telewizyjny

## czy - „KLAPS”?

wywiad z reż. Woźniakow- skim na temat odbywające- go się w tej chwili w War- szawie XVI Kongresu Filmu Naukowego (AICS). Cóż z tego, że po pytaniu co to jest We wszystkich poważniej-

kopii roboczych (uwaga — niemych!) różnych filmów po- pularno-naukowych. Taka o- kazja, ale i tym razem „Klaps” zmarnował ją od po- czątku do końca, jedynie cie- kawa okazała się próba sce-

cenza ta jest może ostra w słowach, ale chyba redakcio- rzy „Klapsa” winni się za- stanowić nad wprowadzeniem pewnych zmian w redagowa- nym przez siebie magazynie. Zmian, które przede wszyst-

„Klaps” winien zawierać też to, co jest ważne i interesu- jące w polskim i zagranicz- nym życiu filmowym i śro- dowisku związanym z polską i zagraniczną produkcją fi- lmową.



Fot. Z. Krajewski



Do najbardziej znanych programów telewizji ame- rykańskiej należy „The Red Skelton show”. Raz na ty- dzień sieć CBS pokazuje swym widzom pięćdzie- ściociesiętnego komika Red Skeltona, który sam przygotowuje i realizuje swój program. Od pierwszej jego audycji minęło dziesięć lat, ale popularność jego jest wciąż bardzo duża. Swą ka- rierę rozpoczął Skelton od śpiewania na statkach ply- wających po Missisipi, i występów w nocnych loka- lach. Działo się to przed trzydziestu laty. Potem trafił do radia, skąd w niedługim czasie porwał go Hollywood. Ale popularność — no i ma- jątek — przyniosła mu do- piero telewizja. W tej chwi- li Skelton posiada obok ra- finerii naftowych i ma- jątków ziemskich własną wytwórnię filmową. Prowa- dzi bardzo ekscentryczny tryb życia. Mieszka w dwu-

dziesięciomilopokojowej wil- li (!) razem z... papugą, psami i wypchanymi gorylami (!). Jego „konikiem” jest religia Wschodu. Od czasu do czasu pisze krótkie opowia- dania, których jednak nig- dzie nie publikuje. Ma sze- snastoletnią córkę. Wyglą- sza szereg złotych myśli, z których najpopularniejszą jest: „Celem człowieka jest śmiech”.

A swoją drogą, na tele- wizji dopiero można robić interesy. Eldorado niepo- trzebne, byle talent... no i ten spryt. Niestety, nie w naszej to telewizji tak się dzieje, oj, nie.

\* \* \*

Znana sex-bomba i zara- zem doskonała aktorka fil- mu angielskiego Diana Dors (jako sex-bombę o- glądaliśmy ją w „Maskotce” Reeda, jako aktorkę, która stworzyła znakomitą kreację w głośnym filmie „U progu ciemności”) występuje rów- nież w telewizji. Mimo na- wału pracy w filmie Diana Dors znajduje także czas na występy w telewizji, gdzie posiada swój program pt. „Variete Diany Dors”. Audycja ta cieszy się dużą popularnością wśród telewi- dzów angielskich, co łatwo zrozumieć, patrząc na po- niższe zdjęcie Diany Dors.



## CENNE INICJATYWY

szych telewizjach świata od- dawna już istnieje szeroko- rozbudowany system naucza- nia telewizyjnego. Powstało szereg szkół telewizyjnych, różnego typu — od podsta- wowych, do średnich i za- wodowych. Niektóre z nich są często samodzielnymi u- czelniami, uprawnionymi do wydawania pełnopraw- nych świadectw. Pisał swe- go czasu na tej kolumnie o telewizyjnym nauczaniu ma- gister Piotr Sipowicz, ja ze swej strony mogę obiecać, że powrócimy jeszcze nie- raz do tego interesującego tematu, gdyż w naszej TV system nauczania telewi- zyjnego dopiero się wypra- cowuje i jeszcze wiele musi się ona nauczyć, w nowej dla siebie dziedzinie, a cu- dzie doświadczenie w niczym na pewno nie zaszkodzi.

Nauczanie telewizyjne czę- sto posiada już zakres wyż- szy. Taki na przykład uni- wersytet dla wsi telewizji lwowskiej, cieszący się o- gromnym powodzeniem, o-

siąga bardzo poważne rezul- taty merytoryczne. Telewizja polska postanowiła wpro- wadzić do swego programu również i nauczanie typu wyższego. Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego po- parło ten projekt i Komitet do Spraw Radia i Telewizji zabrał się do szczegółowego opracowania (oczywiście, w porozumieniu i przy pomocy Ministerstwa Oświaty, Szkol- nictwa Wyższego oraz Mi- nisterstwa Kultury i Sztuki).

Inicjatywa szczególnie cenna, zważywszy na coraz silniej pogłębiający się nie- dobór wyspecjalizowanych kadr z wyższym wykształce- niem. Podobne zjawisko no- tują również inne państwa, np. Czechosłowacja, Związek Radziecki, także i Stany Zjednoczone. Według oficjal- nych danych — w Polsce, aby zaspokoić zapotrzebowa- nie na specjalistów z wyż- szym wykształceniem (zwła- szcza technicznym), uczelnie powinny wykształcić do ro- ku 1980 około miliona absolwentów, co znacznie

przekracza aktualne oraz te- planowane, możliwości na- szych uczelni. Dlatego po- ważny procent studiujących musi w przyszłości coraz bardziej ograniczać się do studiów typu zaocznego. A więc w tym zakresie tele- wizja mogłaby oddać nie- ocenione usługi.

Najogólniejszy projekt te- lewizyjnego kształcenia wyż- szego przewiduje wpro- wadzenie do programu TV sy- stematycznego oraz organi- zowanego cyklu wykładów z zakresu pierwszych lat studiów (przede wszystkim technicznych, i nauczyciel- skich). Oczywiście, zostałyby zorganizowane odpowiednie punkty konsultacyjne, wy- dawnictwo specjalnych po- mocy naukowych, skryptów, przystosowanych do takiego nauczania — no, ale to wszyst- ko jest jeszcze sprawą przyszłości.

Chyba zdajemy sobie spra- wę z ogromnych możliwości telewizji w tej dziedzinie. Telewizja może dysponować wszystkimi nowoczesnymi środkami przekazywania wiedzy. Nie będzie przeży- wała istotnych trudności w zwerbowaniu najlepszych sił naukowych i wykłado- wych. To, co składa się na najpoważniejsze osiągnięcia poszczególnych uczelni w Polsce, w telewizji można doskonale skomasować. Ale istnieją także i niebezpie- czeństwa takiego systemu kształcenia. Telewizyjny stu- dia, siła rzeczy, muszą być typem studiów biernych, po- zbawionych możliwości bez- pośredniego kontaktu studen- ta ze swoim wykładowcą.

Jednak nie te obawy są naj- istotniejsze.

Od dwóch lat mówi się o audycjach telewizyjnych dla szkół. Ostatnio uzyskały one dla siebie miano telewizyj- nych lekcji. Ale, daleko im wciąż do telelekcji w peł- nym tego słowa znaczeniu. Nasza rodzima telewizja szkolna wciąż jeszcze tkwi w powiśnięciu. Trudno mó- wić o trwałych sukcesach, na razie wszystko jest w sferze prób i eksperyment- tów. A przecież telewizja szkolna jest tylko pomo- cniczym elementem; jedną z wielu, chyba na pewno najbardziej przydat- ną pomocą naukową dla szkół i nauczycieli — jed- nak nie stanowi samo- dzielnej jednostki kształ- cenia, jakiej rolę ma speł- niać przyszły Telewizyjny Uniwersytet.

Wypracowanie metody zu- pełnie odmiennego, niespo- tykanego dotąd typu dydak- tyki, znalezienie właściwych środków dotarcia do słucha- cza, studiującego nie tylko samodzielnie, ale jeszcze niejako w oderwaniu od przedmiotu swoich studiów stawia telewizję w sytuacji wielkiej odpowiedzialności, której jednak, miejmy na- dzieję, z czasem sprosta, przy pomocy odpowiednich specjalistów.

KOWALSKI



# MIĘDZY ŻYCIEM a ZASADAMI

Dalszy ciąg ze str. 1

szą" rozkoszy nie przydaje. Po drugie, władze kontroli ruchu ludności nijak nie chciały p. Olechy w nowym, a uprzątnionym miejscu zameldować bez zgody p. Henryki. Pani Henryka zaś w wyrażeniu tej zgody naturalnie nie miała swego interesu.

Przymyk nadziei na pełnię szczęścia wszystkich zaślubił z chwilą, kiedy p. Henryka, nie pozostając dłużna, wyszła również powtórnie za mąż i to za obcokrajowca, do którego miała wyjechać hen, daleko, za ocean. Istotnie wyjechała, nie zostawiając jednak zgody na zalegalizowanie pobytu w jej dotychczasowym mieszkaniu „tej drugiej”. W związku z tym p. Olechy w dalszym ciągu nie chciało zameldować i nie zameldowano.

Sytuacja zapowiadała się zbyt pięknie, aby mogła być prawdziwa. Bo oto najnieoczekiwanej p. Henryka wróciła po miesiącu czy dwóch z zagranicy i zdecydowała się pozostać na pobyt stały w dotychczasowym miejscu zamieszkania, do czego miała prawo. Miała je tym bardziej że wspólnie z byłym mężem wniosła zgodne podanie do władz kwaterunkowych o ostateczny rozdział mieszkania i zalegalizowanie wszystkich innych porządnych i pomiarowych następstw. Sprawa więc znalazła się ostatecznie na dobrej drodze, z tym, że kwaterunek nierychliwy...

Nie można powiedzieć, żeby władze kontroli ruchu ludności nie interesowały się losem p. Olechy, legalnej małżonki p. Aleksandra. Interesowały się jak najbardziej i aplikowały p. Olech 1000 zł grzywny za niedopełnienie obowiązku meldunkowego, którego z ichże woli dopełnić nawet za chińskiego boga nie mogła. Oczywiście grzywna była bezprawnie i prokuratura, do której poskarżyli się udręczeni małżonkowie M., natychmiast bezprawnie ją ukreśliła.

Wniosek z tego, że niektórzy pracownicy odpowiedniego referatu kontroli ruchu ludności znają się na obowiązujących ich przepisach, jak wilk na gwałtach. Na ich użytek, a także na użytek ogółu Sceptyk pozwolił sobie nieco poczytać.

§ 6. p. 4 Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 1. VIII. 1956 (Dz. U. Nr 33 poz. 153), nakazuje udzielenie zameldowania na pobyt stały, gdy taki pobyt jest niezbędny między innymi ze względów społecznych. Czyżby panowie referatu od meldunków nie wiedzieli, że w naszym kraju rodzina i małżeństwo jest pod ochroną prawa, i że utwierdzenie życia małżeństwu niezależnie od tego, czy są zawarte po raz pierwszy, drugi czy enty z kolei, należy do względów społecznych?

Ponadto odpowiedni para graf Okólnika Nr 3 Ministra Gospodarki Komunalnej w sprawie mieszkań rozwiedzionych małżonków (Nr AO/027/60) nader jasno określa uprawnienia byłych małżonków do meldowania osób trzecich: „W przypadkach, gdy wspólnie zajmowane mieszkanie obejmuje tylko jeden pokój, lub

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów“



Fot. W. Biliński

## NIE MA KOBIET BRZYDKICH SA TYLKO KOBIETY ZANIEDBANE

W myśl tego hasła kobieta zadbała przeprowadzić swój bilans miesięczny:  
raz w miesiącu farbowanie włosów — zł 100.—  
raz na tydzień czesanie — po zł 30.—  
raz na tydzień manicure — po zł 15.—  
raz w miesiącu henna — zł 18.—  
raz w miesiącu pedicure — zł 23.—  
raz w miesiącu kosmetyczka — zł 50.—

Lekko licząc, z rachunków tych wynika, że kobieta zadbała musi wydać na siebie ok. 370 złotych — prócz kremów, wody kolońskiej, pudru, szminki itp.

Oczywiście, są to sumy zupełnie nierealne. Wobec tego kobieta zadbała kupuje sobie tubkę świetnej farby niemieckiej „Landa” po zł 20.— (albo tubkę też niezłej farby krajowej) i połowa zawartości, sama (bądź przy pomocy koleżanki) farbuje włosy. Następnie nabywa lakier do włosów za 25 zł, który starczy jej na pół roku (fryzjer za jedno „wylakierowanie” bierze 5 zł (oraz hennę za zł 190). Po zaopatrzeniu się w emalie do paznokci jest już kobieta zadbała — za jedną dziesiątą poprzedniej sumy.

Co z tego wszystkiego wynika? Otóż to, że ceny w zakładach fryzjerskich i kosmetycznych były ustalane w czasie, kiedy nie było jeszcze kosmetyków krajowych a zagraniczne były ogromnie drogie. Dlatego jednak dziś fryzjer bierze kilkusetprocentowy narzut za farbę, za lakier, za emalie do włosów, za kompresy, dlatego kosmetyczka trzeba płacić o tyle drożej za hennę, dlatego tak dużo kosztuje najpopularniejszy (i niezbędny przy tym) zabieg higieniczny — pedicure i manicure?

„Tego chcielibyśmy się dowiedzieć“

## MNIEJ KŁOPOTÓW Z FUNDUSZEM

Jak nas poinformowano w łódzkim Zarządzie Okręgowym Związku Włókiarzy, w bieżącym roku znacznie zmniejszyła się ilość skarg pracowników w związku z podziałem funduszu zakładowego.

Jednakże podział nie wszędzie jeszcze odbywa się sprawnie. Dowodem tego liczba 44 skarg, które napłynęły aż z 31 zakładów włókienniczych w Łodzi. Po interwencji Związku, 23 osobom przywrócono prawo do udziału w funduszu zakładowym, pozostali — zgodnie z postanowieniami regulaminu — odmówiono.

Jak wynika z treści skarg,

pokój z kuchnią, a zajmujące go małżeństwo zostało rozwiedzione, żaden z rozwiedzionych nie może bez zgody drugiego z nich wprowadzić do tego mieszkania osoby trzeciej, a w szczególności nowego współmałżonka... Czyżby odpowiedni referenci nie umieli w skupieniu czytać akt i nie zauważyli, że w opisanej sprawie wchodziło w grę mieszkanie, składające się z dwóch pokoi i kuchni? I komu tu właściwie należy się grzywna?

Sprawa skończona i nie wracalbym do niej, gdyby nie wynikały z niej ogólnejsze, nie tylko antybiurokratyczne wnioski.

Na łamach prasy toczy się dyskusja nad projektem kodeksu rodzinnego, sporządzona głośnym artykułem U.J. w „Polityce” pt. „Między życiem, a zasadami”, który to tytuł w celach aluzyjnych Sceptyk pozwolił sobie ściągnąć. Nie unikając na razie w głównym meritum dyskusji (jest to ogromnie trudne, ponieważ tekst dyskusyjnego projektu nie ukazał się drukiem i znają go nieliczni wtajemniczeni) pozwolę sobie w związku z opisaną sprawą wtrącić do o-

# ODGŁOSY

tygodnia

najczęściej pomijano przy podziale pracowników, którzy w trakcie roku otrzymali wypłaty. Dopiero interwencja Związku przywróciła należne jej prawo partycypowania w funduszu zakładowym.

organizacji w Zakładach im. Niedzielskiego zwolniono po 14 latach nieprzerwanej pracy. Dopiero interwencja Związku przywróciła należne jej prawo partycypowania w funduszu zakładowym.

cięższych udręce rozwodzających się, czy już rozwiedzionych małżonków. Czy nasze prawo rodzinne, regulujące również zasady majątkowe, powinno unieważniać ręce od owych istotnych, a w wypadku patologii życia rodzinnego bolesnych spraw, związanych z miejscem czło wieka na ziemi. Czy nasze sądy nie powinny być upoważnione i zobligowane do ferowania i w nich sprawiedliwych wyroków? Jakem Sceptyk, wątpię.

SCEPTYK

P.S. Od lutego br. obowiązuje zmiana przepisu postępowania cywilnego przewidująca, że na żądanie jednego z małżonków sąd może postanowić „o zakresie i sposobie korzystania z wspólnego mieszkania w czasie trwania procesu”. Do brze, a co po procesie? Sam Kwaternik nie jest władny rozstrzygać sporu mieszkaniowego w aspekcie majątkowym. Jeżeli zgodzimy się, że aspekt taki istnieje, a istnienie jego nie ulega wątpliwości, to problem wy maga określenia samej zasady wspólności mieszkania (w znaczeniu majątkowym) w kodeksie.

## MY NIE CHIŃCZYCY, ALE...

Dowcipowano w Polsce długo na temat propagowania ćwiczeń fizycznych w Chinach i masowej gimnastyki całego narodu. Dowcipowano, aż zaczęto wprowadzać i u nas. Obecnie w Łodzi i województwie mamy już 35 fabryk z ilością około dziesięciu tysięcy robotników, gdzie w czasie przerw w pracy odbywają się regularne ćwiczenia gimnastyczne. Łódzkie Zakłady im. Zubrzyckiego zostały wyróżnione przez WKZZ za najlepsze wyniki, osiągnięte w organizacji i prowadzeniu gimnastyki.

Ćwiczenia fizyczne mają niebłahy wpływ na samopoczucie pracowników i wydajność pracy.

„Odgłosy tygodnia” ze swojej strony propagują wprowadzić jak najszybciej obowiązkową gimnastykę w biurach i urzędach. Gorzko doświadczeni w ten sposób niekiedy urzędnicy okazać może wówczas nieco więcej serca petentom, albo przynajmniej zacząć ich załatwiać choćby w godzinach ćwiczeń, szukając w tym pretekstu do zwolnienia się z gimnastyki.

## ODWROTNOSĆ MARTWEJ DUSZY

Pani Daniela B. — pracownica jednego z łódzkich zakładów włókienniczych — uciekając od wasni ze współlokatorami, zamieniła mieszkanie i przeniosła się do Zgierza wraz z trojgiem dzieci. Alali mąż pani Daniełi z-rotesłował czynnie przeciw exodusowi i zabierając czwarte dziecko, pozostał w Łodzi u swojej mamusi.

Po jakimś czasie małżonka znużona się separacją, zdala więc mieszkanie w Zgierzu tamiejszym władzom kwaterunkowym, by mieć podsta we do starania się o przydział w Łodzi, po czym powróciła do rodzinnego miasta. Pełna ufności i nadziei, że mieszkanie rychło otrzyma (należy wjechać nie brak), zatrzymała się u własnej mamy, zwiększając stan zaludnienia maminych 13 m

kw. do 8 osób. Nie dziwnego, że przy takiej „gestości” ręk chwtało jej zameldować.

Z pania B., iako że to osoba dorosła, jeszcze pół będy. Dzieci wszakże nie są poddawane obowiązkowym szczeniom... nie chodzi o szkoły (sa w wieku 8, 10, 14 lat).

A w ogóle, jak łatwo się zorientować, pani B. wraz z trojgiem potomstwa absolutnie nie istnieje. Z wyjątkiem „wypadka” z ewidencji ludności. Przypuszczam, że takich mieszkańców Łodzi można znaleźć setki. Warto się wobec tego zastanowić, czy władze miasta nie powinny dla niezawidencjonowanych sporządzić specjalnej ewidencji. Zainteresowani zgłoszą się chętnie, bo mają już dość „niebytu”.

## PRACOWNICE DOMOWE

W Łodzi pracuje 1394 tzw. pomocy domowych. Przynajmniej tyle zarejestrowała ich Zakład Ubezpieczeń Społecznych, ściągający od pracodawców składkę ubezpieczeniową. Składka ta wynosi 25, 100 lub 150 zł miesięcznie, w zależności od sytuacji rodzinnej ubezpieczonego i od źródła jego dochodów. Najmniejszą stawkę płaci przeważnie lekarze, najwyższą prywatna inicjatywa. Deklarowane zarobki pomocy domowych wynoszą od 300 do 500 zł plus wyżywienie. Ponieważ zawód pomocy domowej wytrzymuje próbę życia w naszym ustroju i cieszy się społecznym wzięciem Liga Kobiet wystąpiła o zmianę jego nazwy na „pracownice domowa” i o przyjęcie tej grupy zatrudnionych do Związków Zawodowych.

Redaguje Zespół \* Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” \* Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 98. Tel. 241-79 \* Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.— kwartalnie zł 12.— \* Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca \* Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PTPiK „Ruch” — z zastrzeżeniem na „Odgłosy” Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwińd 17 Zam. 2745. IX. 62. A-4